NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 18 stycznia 1908. Nr. 3.

Napad na pocztę.

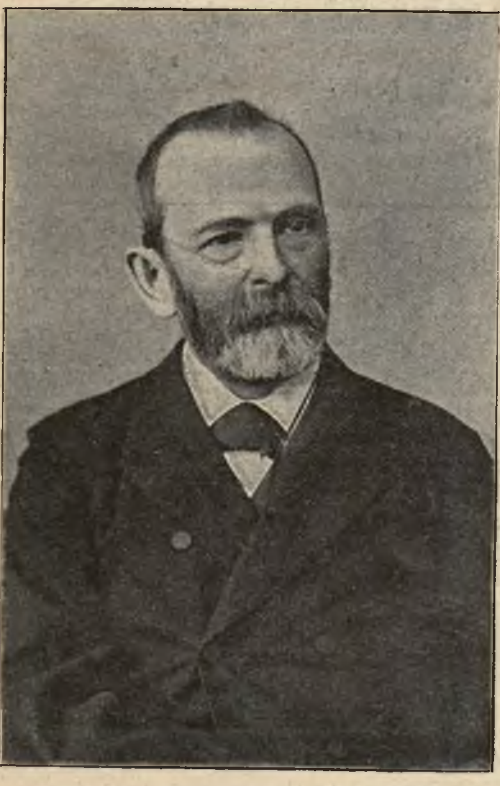
(Treść na str. 2).



Napad na pocztę.

(Do illustracyi tytułowej.)

Jak dziwnych, tajemniczych opowieści z tysiąca i jednej nocy, jak fantastycznych przygód Sherlocka Holmesa, słucha się opisów najrozmaitszych napadów, których tyle wydarzyło się w ostatnich czasach na ziemiach Królestwa Polskiego i Rosyi. Śmiałość bandytów przechodzi wprost granice po-



Skon pedagoga-patryoty: Ś. p. dr. Józef Żuliński.

jęcia, a ich karność, świetna organizacya i spryt w wykonywaniu przedsięwziętych czynów budzi poprostu podziw i grozę.

Ostatnim tego rodzaju śmiałym napadem zbrojnym było zamierzone obrabowanie furgonu pocztowego koło dworca kolejowego w Sokołowie. W nocy na ubiegłą sobotę, kiedy furgon pocztowy pod osłoną wojskową przybył z urzędu pocztowego w miasteczku Sokołowie na dworzec, otoczyła go nagle grupa uzbrojonych ludzi i rzuciła pod wóz bombę. Rozległ się donośny huk, zadrżały wszystkie pobliskie budynki, a żołnierze, otaczający furgon, poupadali na ziemię, bądź ogłuszeni siłą wybuchu, bądź ranieni odłamkami bomby. W tej samej chwili rozległy się strzały brauningowe. To napadający skierowali swą zabójczą broń przeciw urzędnikom kolejowym i służbie, która była na miejscu, dając strzał po strzale i raniąc ciężko cały szereg osób.

Następnie rzucili się uczestnicy napadu na furgon pocztowy, aby zabrać znajdujące się w nim pieniądze. Zanim jednak udało im się dzieło doprowadzić do końca, rozległ się sygnał dowódcy, wzywający do szybkiego odwrotu i w jednej chwili napastnicy rozbiegli się w rozmaitych kierunkach, nie pozostawiając śladu po sobie. Sygnał przyszedł w samą porę. Wskutek bowiem silnej detonacyi bomby oraz strzałów brauningowych, nadbiegł na miejsce oddział wojska. Rzucono się niezwłocznie w pościg za zbiegłymi, jednak bez skutku. Równocześnie zajęto się rannymi, przyczem okazało się, iż jeden z żołnierzy został zabity, bez życia znaleziono też jakiegoś człowieka, prawdopodobnie uczestnika napadu. Kim on był, nie stwierdzono mimo ścisłych dochodzeń.

Illustracya nasza na stronie tytułowej przedstawia pełną grozy chwilę napadu na furgon pocztowy obok dworca w Sokołowie.

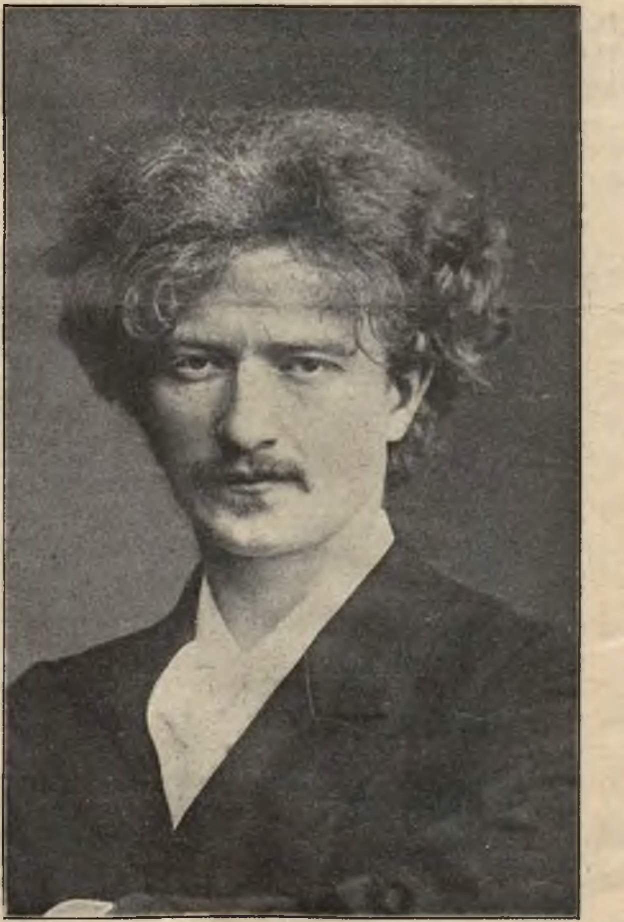
Skon pedagoga-patryoty.

Z szeregu najzasłużeńszych pracowników naszego społeczeństwa, ubyła w ubiegłym tygodniu postać dziwnie piękna i jasna, jeden z tych, co całe swe życie poświęcili dla idei i pracy narodowej, dr. Józef Żuliński, były profesor seminaryum żeńskiego we Lwowie. Pochodził on z rodziny, która wydała sześciu synów o imionach, zapisanych jak najlepiej w dziejach paru ostatnich dziesiątków lat ubiegłego wieku. Jeden z nich, to Roman Żuliński, członek Rządu Narodowego, stracony w Warszawie 1864 r., drugi, to ks. Kazimierz Żuliński, trzeci lekarz dr. Tadeusz, a czwarty zmarły właśnie we Lwowie, dr. Józef. Dwaj ostatni, Edward i Aleksander, powróciwszy z wygnania długiego, żyją dotychczas.

Śp. Józef urodził się 1841 r. w Krakowie, wychowywał się jednak wraz z braćmi w Warszawie i ukończywszy tam gimnazyum, rozpoczął studya uniwersyteckie. Następnie przeniósł się z bratem Tadeuszem na uniwersytet w Kijowie, a stamtąd do Pragi i tam rozwinął ożywioną działalność polityczną. Nie zaniedbując pracy nad własnem wykształceniem, uzyskał w Krakowie stopień doktora filozofii. W tym właśnie czasie wybuchło powstanie styczniowe, a zarówno śp. Józef jak Tadeusz wzięli w jego organizacyi żywy udział, za co też ścierpieli srogie więzienie. Po odzyskaniu wolności, udali się obaj bracia do Francyi i Paryża, gdzie przebyli pamiętne oblężenie, walcząc w szeregach francuskich. Ponadto pracowali na polu naukowem, narodowem i politycznem. W r. 1871 przenieśli się do Lwowa i ś. p. Józef otrzymał tam stanowisko profesora nauk przyrodniczych w żeńskiem seminaryum nauczycielskiem.

We Lwowie rzucił się w wir pracy publicznej, do której pola miał aż nadto. Nie licząc się ze słabemi siłami fizycznemi, pracował z ostatecznem wytężeniem i dzięki temu zaparciu się i poświęceniu wprowadził w życie kilka bardzo pożytecznych instytucyi, jak: „Kolonie wakacyjne w Rymanowie“, „Towarzystwo opieki nad sługami“, „Bractwo N. M. P. Królowej Polski“, a współdziałał w „Macierzy szkolnej“, „Sokole“, „Gwieździe“, „Tow. pedagogicznem“, „T. S. L.“ i wielu innych. Jako pedagog jeden z najwybitniejszych, wychował szereg zacnych kobiet, zasłużonych dziś nauczycielek i matek. Ze stanowiska nauczycielskiego ustąpił dopiero przed paru laty, gdy choroba znaczne poczyniła postępy i wreszcie przed paru dniami zmogła słaby, a przepracowany organizm.

Cześć Jego pamięci!



Paderewski dyrektorem warszawskiego konserwatoryum: Ignacy Paderewski.

Paderewski dyrektorem warszawskiego konserwatoryum.

Cała Warszawa przyjęła z radością, niemal z entuzyazmem wieść, iż genialny wirtuoz i kompozytor nasz, Ignacy Paderewski, chluba sztuki polskiej, godzi się na objęcie artystycznego kierownictwa w warszawskim Instytucie muzycznym. Długo dość trwały rokowania w tej sprawie, warunki bowiem, na jakich mistrz Paderewski mógłby był przyjąć ofiarowane stanowisko, musiały być odpowiednie i wymagały szczegółowego omówienia. Rezultat tych pertraktacyj jest w każdym razie pomyślny, a że i władze rządowe godzą się na powierzenie dyrekcyi temu wielkiemu pianiście, przeto niezadługo zapewne zawita on w mury uszczęśliwionej tem Warszawy.

Fakt ten będzie miał dla kultury artystycznej grodu Syreniego doniosłe, a dodatnie znaczenie. Pozyskanie zaś Paderewskiego na kierującego pedagoga poważnej instytucyi muzycznej było tem trudniejsze, że znakomity wirtuoz bardzo niechętnie oddawał się obowiązkom nauczycielskim i tylko wyjątkowo utalentowane osoby mogły liczyć na jego wskazówki.

Obecnie bawi Paderewski w Ameryce, gdzie daje koncerty w największych miastach Stanów, zyskując coraz nowe wawrzyny. Owacyjnie wita go wszędzie nie tylko Polonia miejscowa, ale i amerykańska publiczność, której Paderewski jest ulubieńcem.

Dzieci dla dzieci.

Na rzecz ochronki dla sierót odbyło się w ubiegłą niedzielę w sali Sokoła we Lwowie bardzo udatne przedstawienie jasełek pt. „Dzieci polskie w Betlejem“, układu znanego, popularnego autora teatrzyków dziecięcych, inż. Franciszka Barańskiego.

Jasełka te, napisane bardzo barwnie a przystępnie, przedstawiają w prześlicznym obrazku całą dolę polskiej dziatwy na obszarach ziem dawnej Polski.

W przedstawieniu wziął udział cały zastęp młodocianych „aktorów“ i „aktorek“, którzy wywiązali się z powierzonych im ról ku ogólnemu zadowoleniu, zaś malownicze kostyumy i efektowne dekoracye, dopełniły reszty. To też przepełnia-



Dzieci dla dzieci: Grono dzieci-amatorów, które występowały w »Jasełkach polskich«.

jąca widownię publiczność, przeważnie dziatwa — od pół metra w górę — była zachwyconą wspaniałem widowiskiem i hucznymi oklaskami, ile tylko starczyło sił słabym rączętom, dawała wyraz swemu zadowoleniu. Mamy zaś, ciocie i babcie



»Cywilny« minister wojny: Baron Seweryn Casana.

z dumą spoglądały na swe pociechy, jak w pysznych, iskrzących i kapiących od złota i srebra kostyumach uwijały się po dużej scenie, niby skończeni artyści.

Urządzeniem całego przedstawienia zajmował się autor sztuczki inż. Barański, który też sam podłożył pod tę rzecz zgrabną i lekką muzyczkę.

„Cywilny“ minister wojny.

Król włoski dokonał obecnie zasadniczej zmiany w zarządzie swej armii. Dotychczasowy minister wojny, gen. Vigano, choć obdarzony wszelkiemi zaletami, jako dowódca sił zbrojnych na wojnie, nie umiał jednak zaprowadzić porządku w swych szeregach podczas pokoju. Niedomaganiom tedy armii włoskiej należało jak najprędzej zaradzić. Odnowienie artyleryi polnej, podwyższenie płac oficerskich, unormowanie awansów — czekały bezskutecznie przez dłuższy czas na załatwienie.

Prezydent gabinetu Giolitti, chcąc ostatecznie zaradzić tym wszystkim brakom, postanowił pójść w ślady Francyi i powierzyć tekę ministra wojny osobie z poza armii, któraby zarazem mogła znaleść poparcie dla siebie w parlamencie. Wybór jego padł na barona Seweryna Casanę, a król ten wybór zatwierdził.

Baron Casana jest z zawodu technikiem; przez dłuższy czas pełnił obowiązki inżyniera kolei żelaznej, potem został profesorem politechniki w Turynie, a wreszcie burmistrzem tego miasta. Poprzednio przez lat dwanaście był posłem do parlamentu, z chwilą jednak wyboru na burmistrza zrzekł się mandatu, aby oddać się w zupełności miastu, którego gospodarka przedstawiała się w opłakanym stanie. Tak na tym, jak i na wszystkich swych poprzednich urzędach, okazał nietylko niezwykłe zdolności, ale i czysty charakter, czem zjednał sobie poszanowanie w całym kraju. Król w nagrodę zasług jego mianował go przed kilku laty baronem, a równocześnie senatorem. Włochy mają więc obecnie nadzieję, iż dzięki nowemu ministrowi wojny armia ich podźwignie się z opłakanego stanu, w jakim dotychczas pozostaje.



Akademickie Kółko amatorskie we Lwowie: Członkowie wydziału Akademickiego Kółka dramatycznego.

Akademickie Kółko dramatyczne we Lwowie.

Zawiązane przed rokiem we Lwowie „Akademickie Kółko dramatyczne“, dało się już poznać kilkakrotnie szerszej publiczności jako instytucya, uprawiająca sztukę dramatyczną z prawdziwem zamiłowaniem, z niezwykłem znawstwem i smakiem.

Szereg wieczorów, urządzonych w stosunkowo krótkim czasie, dał sposobność zaznajomienia się publiczności z wybitnymi talentami, grupującymi się w „Kółku“. Dość wspomnieć o nader udałym „Wieczorze Bolesława Gorczyńskiego“, na którym amatorowie z niemałą rutyną odegrali trzy jednoaktowe sztuki tego utalentowanego autora, pod jego własnem kierownictwem.

Na ostatnio zaś urządzonem przedstawieniu, na dochód „Koła panien“ — dowiodło znów „Kółko“ swej żywotności, wystawiając między innemi — niegraną dotąd sztukę Perzyńskiego „Majowe słońce“. Bardzo sympatyczne przyjęcie ze strony publiczności i pochlebne recenzye w miejscowej prasie, zapewniły „Akad. Kółku dramatycznemu“ dalszy rozwój.

Poza przedstawieniami, „Kółko“ nie zaniedbuje koniecznego kształcenia się w tym kierunku — rozszerzając wciąż swoją bibliotekę, urządzając odczyty i pogadanki na temat sztuki dramatycznej.

Z końcem ubiegłego miesiąca odbyło się Walne Zgromadzenie „Kółka“, na którem dokonano wyboru nowego wydziału na rok bieżący. Grupę członków wydziału „Kółka“, z przewodniczącym p. Jamińskim w pośrodku, oraz grupę amatorów tego „Kółka“, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

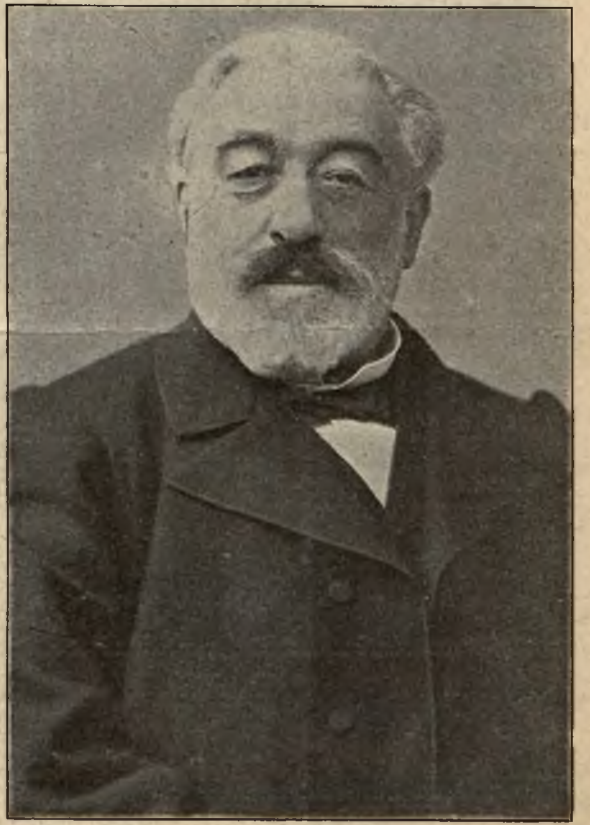
Znowu nagły skon ministra.

W przeciągu niespełna jednego miesiąca, już trzeci minister ginie nagłą śmiercią. Po niespodziewanym skonie rosyjskiego ministra Filozofowa na przedstawieniu teatralnem, zmarł w kilka dni potem skutkiem paraliżu serca premier belgijski, po nim zaś w parę dni zakończył nagle życie podczas posiedzeń senatu francuski minister sprawiedliwości, Guyot Dessaigne.

W czasie przerwy w obradach najswobodniej rozmawiał na korytarzu o przebiegu posiedzenia,



Akademickie Kółko dramatyczne we Lwowie: Grupa amatorów, członków Akad. Kółka dramat.



Znowu nagły skon ministra: Guyot-Dessaigne, zmarły francuski minister sprawiedliwości.

gdy powracając do sali uczuł nagle silny zawrót głowy. Otaczający pośpieszyli mu z pomocą, przywołano lekarzy, wszelkie środki jednak okazały się bezskutecznymi i minister nie odzyskał już przytomności. Śmierć zabrała go w siedmdziesiątym czwartym roku życia.



Znowu nagły skon ministra: Wyżsi urzędnicy sądowi, w strojach uroczystych, w pochodzie żałobnym.

Pogrzeb jego odprawiono z niezwykłą solennością, dla uczczenia i wielkich zasług jego i z tej jeszcze przyczyny, iż znalazł śmierć na posterunku, w chwili obrad, w których musiał brać udział ze względu na swą godność. W głównej sali ministerstwa sprawiedliwości urządzono wspaniałą kaplicę pogrzebową, do której przeniesiono zwłoki zmarłego. Straż honorową pełnili woźni ministeryum w galowych strojach. Na ulicach, przez które przechodził kondukt żałobny, wojska garnizonu paryskiego tworzyły szpalery. Przy dźwiękach marsza żałobnego Chopina, trumnę wynieśli z gmachu ministeryum urzędnicy i złożyli na wysokim rydwanie, zaprzężonym w sześć koni, pokrytych czarnemi oponami. Zwłokom towarzyszył prezydent Francyi Fallières, prezydent ministrów Clemenceau w otoczeniu całego gabinetu, wielu posłów, polityków i dyplomatów zagranicznych. Kondukt żałobny skierował się ku dworcowi Lyońskiemu, skąd ciało zmarłego zostało odwiezione do Clermont-Ferrand.

Polityka na pałasze.

Gorące czasy polityczne ostatnich tygodni, namiętne dyskusye w rozmaitych sprawach publicznych, stały się powodem całego szeregu „spraw honorowych“ na tle politycznem, zakończonych rozprawami z orężem w ręku, o wyniku więcej lub mniej krwawym.

Ostatnia tego rodzaju „tragedya polityczna“ miała miejsce przed paru dniami między znanym posłem bukowińskim dr. Onciulem, a redaktorem „Czernowitzer Tagblattu“ p. Klügerem. Powodem zajścia był szereg artykułów czerniowieckiego dziennika, w których redakcya zaatakowała ostro dr. Onciula za jego stanowisko polityczne w czasie ostatniej sesyi sejmu bukowińskiego. Poseł Onciul wymierzył sobie satysfakcyę, zetknąwszy się z redaktorem pisma wnet po pojawieniu się artykułów. Następstwem tego starcia było zwołanie sądu honorowego, który polecił swoim klijentom zmazanie obrazy przez pojedynek na ostrych warunkach.

W wykonaniu tego wyroku sądu honorowego odbył się przed paru dniami pojedynek na pałasze między poważnionemi stronami. Starcia były bardzo gwałtowne, a w ciągu sześciu spotkań obaj przeciwnicy odnieśli rany w czoło względnie rękę. Wobec niezdolności do dalszej walki uznano pojedynek „za zakończony honorowo“ dla obu stron, poczem przeciwnicy się rozeszli niepojednani.

Wypadek powyżej opisany, oraz cały szereg innych, głośnych w ostatnich tygodniach afer pojedynkowych, n. p. między premierem węgierskim Weckerlem a ministrem Polonyim, powiniem postawić znowu na porządku dziennym kwestyę pojedynków, ale nie na to, aby zrobić z niej temat artykułów i dyskusyi, lecz by jej wreszcie — jako przestarzałemu zabytkowi średniowiecza — koniec położyć.

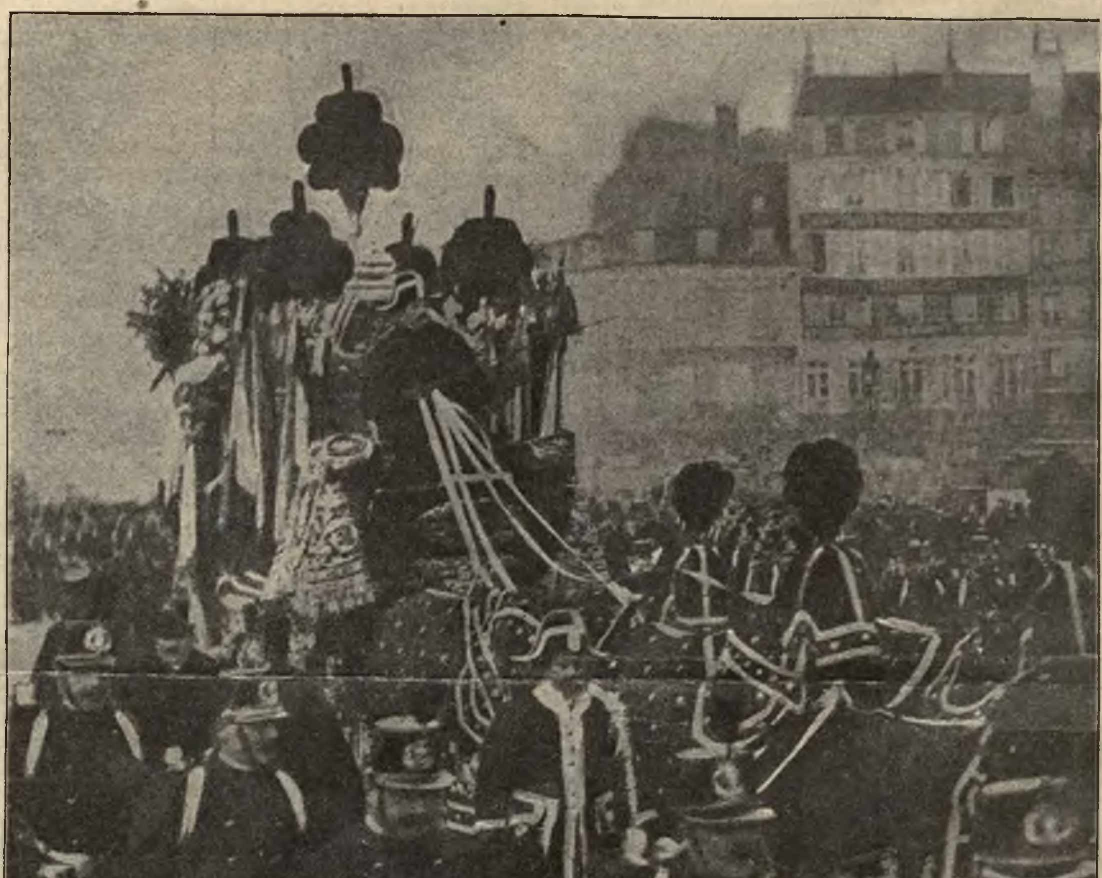


Polityka na pałasze: Poseł dr. Onciul.

Dotychczasowe bowiem usiłowania jednostek czy też korporacyi, w rodzaju „Ligi przeciwpojedynkowej“, choć witane powszechnem uznaniem, pozostały prawie bez rezultatu, a mania pojedynków szerzy się dalej we wszystkich krajach w zastraszający sposób. Potrzeba więc bardzo energicznej i bardzo stanowczej akcyi i to ze strony najpoważniejszych osób, aby nie skończyło się znowu na czczych frazesach lub ankietach.



Polityka na pałasze. Redaktor »Czernowitzer Tagblattu« Klüger.



Znowu nagły skon ministra: Rydwan żałobny ze zwłokami zmarłego ministra.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

8 (Ciąg dalszy).

Wprawdzie przyszło mu na myśl, że i urzędnicy nie są święci... no i o manipulantkach mówią to i owo, o ich protektorach... ale ta Trawecka taka ładna i udaje niewinną... a może to lepiej, że ma kochanka, będzie przystępniejszą... No zobaczymy, mruknął, a że była godzina śniadaniowa, wyszedł na miasto.

W biurach szybko rozniosła się wieść, że dyrekcya pociąga do odpowiedzialności za mowy wygłoszone na zgromadzeniu, a zgnębione miny Kulińskiego i Gierlicza wskazywały, że sprawa bierze zły obrót. Gdy Berkholc zjawił się po przesłuchaniu, ciśnięto się do niego, aby dowiedzieć się o szczegółach. Między innymi przyszedł do niego i Stański, a na jego pytanie co było, odpowiedział Berkholc opryskliwie i z wyrzutem:

— To wasza sprawka... Lerche wie wszystko, no i posypią się dymisye... zobaczysz.

— Że on wie o przebiegu zgromadzenia, to nic dziwnego, nie mamy przecież nic do ukrywania...

— No, no, zobaczysz... wie o Jarkowskim, Osteckim.

— Strach cię obleciał — zaśmiał się — byli obaj w delegacyi... a mówił co o mnie?

— Wie, żeś był inicyatorem.

— Tyle? — wzruszył ramionami – to nie zbrodnia... czy pytał o Trawecką?

— Nic nie pytał, ale dużo wie o niej, jak zmiarkowałem.

— Tak?... A dałeś jej znać?

— Nie i nie chcę mięszać się do tych spraw.

Na to nadszedł Schilling z uśmiechem:

— Cóż Berkholc? Stchórzyłeś?

— Ja? Może ty, ale ja mu nagadałem impertynencyj...

— No, no, ty?... Zawsze miałeś boja przed dyrekcyą — zaśmiał się — i pewno wyśpiewałeś...

— Ty mnie obrażasz — zawołał Berkholc — pewno sam wygadałeś..

— Wiesz co Berkholc, jeśli ty nie powiedziałeś wszystkiego, co wiesz i czego nie wiesz, to Lerche jest osioł kwadratowy.

— A was o co pytał? — wmieszał się Stański.

— Ja mu powiedziałem, że zgromadzenie to moja prywatna przyjemność — śmiał się — ja drwię sobie z jego protokółu i z całej szajki przełożonych, co oni mogą mi zrobić?

— Dadzą dymisyę — rzekł Stański.

— Nie Schillingowi, co najwyżej przeniosą mnie na lepszą posadę — zaśmiał się.

Stański zabierał się do wyjścia, a Schilling spytał:

— Zaczekajcie... gdzie idziecie?

— Chcę Trawecką uwiadomić o protokółach.

— Pójdę z wami.

Weszli do biura w chwili, gdy Wilmański już opowiedział o śledztwie, a Borski rzekł niezadowolony:

— Panu zawsze w głowie wnioski, jakieś śledztwa, dochodzenia... Dyrekcya zna jedną formę: dyscyplinarkę.

Schilling posłyszał to zdanie i zawołał ze śmiechem:

— Wy, panie Borski, ze starej szkoły i ze starej dyrekcyi, a teraz zamiast dyrektora mamy generał-gubernatora.

Wszyscy obejrzeli się z obawą, a Borski powiedział:

— I ściany mają uszy... mów pan tak w swojem biurze.

— Dobrze... powiem. Czy wiecie już o śledztwie inspektorskiem?

— A co, nie mówiłem!? — zawołał Wilmański — kolega Schilling potwierdza.

— Zwłaszcza, że był przesłuchiwany — dodał Stański.

— Pan!? — i Borski obrócił się z krzesłem w stronę rozmawiających.

— No, ja — śmiał się Schilling — i nie zjadł mnie, jak widzicie. Nie dziw się pan, panie Borski, takie czasy.

Ten żart nie podobał się Borskiemu, rzekł więc z powagą:

— Nie dziwię się panie Schilling, bo dyrekcya nie zjada koszernych... tylko nas nieczystych.

Wszyscy się zaśmiali, a Schilling starał się odciąć, nadrabiając miną:

— To dobry koncept... powiem to Berkholcowi, bo on się boi.

— Więc i Berkholc już był? — spytała żywo Janina.

— Będziecie i wy — odpowiedział jej Stański — i z tem przyszedłem właśnie do was.

— Co mówił Berkholc? — zaniepokoiła się Janina.

— Nie mogłem dojść, taki był rozdrażniony i przerażony.

— Ja znam moją rasę — śmiał się Schilling — i jeśli Lerche zagroził mu dyscyplinarką, karą... już on siebie uratował.

Janina i Stański zamienili ze sobą niespokojne spojrzenie, co dostrzegłszy Schilling dodał:

— Jeśli macie jaką tajemnicę z Berkholcem, to ona już nią nie jest.

— Jak można mówić tak źle o koledze nieobecnym — oburzyła się Janina, co inni przyjęli z uznaniem.

— Ja nie winię Berkholca — uśmiechał się szyderczo Schilling. Pan Bóg stworzył go tchórzem, ale winien Lerche, że go straszył.

Zaśmiano się, a Wilmański spytał:

— A z wami Schilling jak było?

— I mnie groził utratą posady, ale ja uspokoiłem jego obawy.

— Bardzo wierzę — mruknął Borski — panu nic nie będzie i może pan kpić z inspektora, co innego my.

— Ja taki, jak wy — rzekł Schilling — i nie rozumiem pana, panie Borski. Pan mnie obraża.

— A ja wcale nie byłbym obrażony — zadrwił Borski — gdybym miał plecy firmy Silberlust et compagnie.

Schilling zmieszał się lekko. Zdawało mu się, że nikt nie wie, iż Silberlust jest jego dziadkiem po matce i że wpływom tej firmy zawdzięcza swe stanowisko i bezkarność. Dotychczas chciał uchodzić i uchodził za bardzo śmiałego urzędnika wobec przełożonych i ta aureola była jego dumą. Teraz po słowach Borskiego może urok zniknąć, chcąc więc czemprędzej zatrzeć wrażenie, zawołał wesoło:

— Pan Borski złośliwy, ale nie mam mu tego za złe, bo on zawsze dowcipny.

— Słuchaj Schilling, a nie widziałeś Gierlicza? — spytał Wilmański.

— Jest tak zmięty, jak prześcieradło po-śnie — zaśmiał się.

Tymczasem Stański nachylił się ku Janinie i szepnął:

— Jak najmniej o komitecie i jego przeznaczeniu.

— Rozumiem.

— Mówcie tylko o tem, co było na zgromadzeniu, o niczem więcej.

— Dobrze.

— Moi panowie — rzekł Borski — może dosyć narad, za chwilę wróci naczelnik.

— Chodźmy — powiedział Stański, idąc ku drzwiom.

Po ich wyjściu spytał Wilmański Borskiego:

— O jakiej to firmie mówiliście?

— O żydowskiej — odmruknął zniecierpliwiony — i nie przeszkadzaj mi pan.

W chwili gdy naczelnik rozmawiał z Borskim o załatwieniu pewnej sprawy urzędowej, wszedł woźny, a zwracając się do naczelnika meldował:

— Pan inspektor Lerche prosi do swego biura pannę Trawecką... zaraz.

Naczelnik spojrzał drwiąco na zarumienioną i rzekł:

— Nowa deputacya... może pani iść, a robota niech czeka zmiłowania — westchnął.

Janina będąc przekonana, że inspektor prócz jej udziału w deputacyi i bytności na zgromadzeniu, nic nie wie, szła pewna siebie. Jednak tuż przed wejściem do pokoju inspektora zdjął ją lęk i poczuła zimny dreszcz. Przemogła się jednak i śmiało weszła.

Spojrzał na nią chmurny, ledwie skinął głową i nie prosząc nawet, aby usiadła, przemówił tonem urzędowym:

— Dyrekcya została uwiadomioną, że wśród personelu szerzy się występna agitacya, uwłaczająca urzędnikom i niebezpieczna dla normalnego funkcyonowania spraw kolejowych... Mamy wiadomości, że pani bierze udział w tej agitacyi! Czy przyznaje się pani?

— Nie brałam żadnego udziału.

— To dziwne — uśmiechnął się ironicznie — a jednak była pani jako deputatka.

— Byłam.

— I na zgromadzeniu również?

— Tak jest.

— Zatem brała pani udział?

— Bierny.

Inspektor, jakkolwiek doskonale znał akta osobiste, przerzucił je i rzekł:

— Dwa lata służy pani w dyrekcyi, zdała pani egzamin, a jednak nie otrzymała pani podwyżki pensyi. Czem pani sobie to tłómaczy?

Na ustach miała już gotową odpowiedź w dwóch słowach: brak protekcyi, ale wstrzymała się i odpowiedziała tonem urzędowym:

— Przyczyna nie jest mi znana.

— Widocznie przełożeni musieli coś dostrzedz niewłaściwego u pani pod względem moralnym, a zarządzone przez dyrekcyę badania wykryły, że mieli słuszność.

— Ja postępowałam niewłaściwie? — zdziwiła się szczerze — ale kiedy? jak? co?

— Kontrolę nad urzędnikiem rozciąga się nietylko w biurze, ale i nad jego życiem prywatnem.

— Moje prywatne życie!? — uśmiechnęła się — ono nie potrzebuje się obawiać i najostrzejszej kontroli, o ile ona zresztą jest uprawniona.

Tyle prawdy i szczerości było w jej głosie, że inspektor poczuł lekkie współczucie, zwłaszcza że Janina była ładna i młoda; postanowił jednak nie poddawać się wrażeniu i rzekł sucho:

— Urzędnik powinien być czysty jak łza... pani jesteś urzędnikiem, a na pani ciążą poważne plamy, co zdaje się uniemożliwi dalsze urzędowanie przy kolei.

Janina przybladła, nie ze strachu, jak przypuszczał Lerche, ale z oburzenia, gdyż poczuła w tonie, że owe plamy dotyczą jej prowadzenia się. Zarumieniła się i rzekła porywczo:

— Gdyby były jakiekolwiek „plamy“ w mem postępowaniu, sama porzuciłabym biuro, nie czekając na pogróżki pana inspektora. Lecz zarzucanie mi „plam“ bez dowodów jest... nieuczciwością.

Janina była tak piękna w swem oburzeniu, miała taki ogień w oczach, głos brzmiał tak szczerą skargą, że inspektor przerażony rzekł dobrotliwie:

— No, nie unoś się pani, pogadamy spokojnie... proszę, usiądź pani.

Janina usiadła i spytała:

— Czy przesłuchanie jeszcze nieskończone?

— Dopiero początek — uśmiechnął się z powagą — wyznaniem prawdy zmniejszy pani swą winę... i wierz mi pani, że pragnę ją usprawiedliwić. Otóż co pani wiadomo o zmowie, która poprzedziła projekt założenia kasy?

— Nic.

— Jeszcze raz proszę o prawdę... wiemy, że w urzędzie pierwszy pan Stański rozpoczął agitacyę za kasą, ale już poprzednio wciągnął na schadzkę prywatną urzędników. Czy tak?

— Pan Stański jest pełnoletni i on sam za siebie odpowiada, a postawione pytanie dotyczy jego osoby.

W umyśle inspektora powstała wątpliwość, czy istotnie Stański jest kochankiem Janiny, uczuł nawet pewną przyjemność w tej wątpliwości, jednak chciał się dowodnie przekonać i przemówił:

— Jestem starszy człowiek, rozumiem siłę uczucia i jestem przekonany, że pani tylko pod wpływem uczucia i gorących próśb uległa żądaniu pana Stańskiego i otwarła swe mieszkanie na schadzkę i zmowę kolejarzy.

Teraz Janina naprawdę nietylko się zdziwiła, ale i przeraziła tą wiadomością o ich tajemnej zmowie. Ze słów inspektora dowiedziała się, że Stański jest i będzie ofiarą urzędowego badania, a przecież ona pierwsza namawiała i wyszukała Stańskiego i czy ma pozwolić, aby niewinny cierpiał? Po krótkiem więc milczeniu, spytała:

— Czy może mi pan inspektor powiedzieć szczerze, co grozi panu Stańskiemu?

Żądło zazdrości ukłuło inspektora, rzucił na nią złem okiem i rzekł sucho:

— Radzę pani najpierw myśleć o własnem usprawiedliwieniu... a co do pana Stańskiego prawdopodobnie czeka go uwolnienie ze służby.

— Uwolnienie!? — zawołała — i za co? Zgromadzenie nie było urzędowaniem!?

— On był sprężyną wszystkiego w urzędzie, a pionkiem w ręku wrogów państwa i społeczeństwa... ale nie o to idzie... zatem czy pan Stański namówił panią?

— Nie... ja sama namówiłam go, abyśmy zjednoczonemi siłami oparli się niesprawiedliwości i wyzyskowi.

Jakżeż ona go kocha, pomyślał z goryczą inspektor, całą winę przyjmuje na siebie, byle on, ten ukochany, nie ucierpiał. Może to jednak tylko

wykręt, pewno mają się pobrać, ona jako manipulantka, traci po zamążpójściu posadę, a on utrzyma się na służbie, rzekł też tonem sędziego:

— To są tylko słowa... gdzie dowód!?—w tem spostrzegł się, że wypadł z roli, gdyż przyznanie do winy należy mu przyjąć i zaprotokółować, dodał też: — zatem dwa piękne duchy spotkały się i kiedyż to było?

Janina postanowiła powiedzieć całą prawdę, byle niewinny nie był za nią karany.

— Każda niesprawiedliwość mnie oburza, a więc i w urzędzie. Jako środek pomocniczy uważałam i uważam zrzeszenie się pokrzywdzonych. W tym celu, dowiedziawszy się, że pan Stański podziela moje zdanie co do stosunków społecznych, na dziesięć dni przed zgromadzeniem poznałam się z nim i namówiłam, aby dopomógł mi do zrzeszenia urzędników. Wahał się, wątpił, ostatecznie się zgodził i wówczas zaproponowałam pokój naszego lokatora na naradę.

Inspektor słysząc, że dopiero przed dziesięciu dniami poznała Stańskiego, doszedł do przekonania, że kochankiem nie może być Stański, że Janina prawdę mówi. A więc ten socyalista jest jej kochankiem, rozumował, zajrzał do notatek dla przypomnienia nazwiska i rzekł:

— Czy może mi pani opowiedzieć przebieg narady tajnej?

— Jeśli pan inspektor wie o niej, niema celu powtarzanie, jeśli pan nie wie, ja nie mogę zdradzać cudzych tajemnic. O sobie wszystko powiem.

Inspektorowi podobała się ta odpowiedź i tak się rozczulił, że gotów był uwierzyć w jej niewinność, ale ten Floryan Wapieński?!

Po chwili namysłu powtórzył więc jej przebieg narad według zeznań Berkholca, aż do chwili ukazania się Wapieńskiego i spytał:

— Czy szczegóły prawdziwe?

— Tak jest - odpowiedziała głucho, zawstydzona i oburzona zdradą.

— Może pani opowie dalej?

— Po co?

— Kto to pan Wapieński? — rzucił nagle pytanie i patrzał bacznie.

— Nasz sublokator.

— Socyalista?

— Należy do partyi.

— A pani zostaje pod jego wpływem?

— Czy to należy do protokółu? — uśmiechnęła się blado.

— Należy, bo my nie możemy ścierpieć w biurze przewrotowych dążeń i zapatrywań.

Janina po silnych wrażeniach czuła wyczerpanie, apatyę. Wszak i tak stracę posadę, cóż mi teraz zależy na ich opinii — odpowiedziała więc spokojnie:

— Podzielam zapatrywania socyalistów.

— Dziękuję pani za szczerość — uśmiechnął się ironicznie.

— Jestem zawsze szczerą z zasady.

— Ładna zasada, szkoda, że krótkotrwała u kobiet — uśmiechnął się, a widząc jej niecierpliwość, dodał: — dziękuję pani, protokół skończony. Wstał z krzesła i ukłonił się uprzejmie.

Przeprowadził oczyma odchodzącą i szepnął: jaka ładna i ponętna! Zapalił papierosa i odpoczywając rozmyślał o Janinie. Głos ma dźwięczny, twarz wrażliwą, oczy pełne ognia, rękę małą i białą... a jaki charakter! Co za szczerość... Gdyby... gdyby ona go pokochała? Uśmiechnął się do tej myśli. Wstał i podszedł do wiszącego lustra. Bacznie przyjrzał się sobie... No, tak, młody nie jestem, ale i nie stary... Te wąsy są zbyt szpakowate... za wysokie czoło... ale czy kobiety patrzą na piękność mężczyzn?... Tę dziewczynę możnaby ująć dobrocią, szlachetnością... Jest córką wdowy, tam pewno bieda, nędza, a on dałby jej wyższą posadę, już przez samą wdzięczność mogłaby go pokochać.

Tylko ten Wapieński!? Czy jednak matka pozwoliłaby na romanse pod swoim bokiem?... Ale z biedy ludzie dopuszczają się różnych łajdactw, a zresztą jaka to klasa ludzi? Konduktorka!? Kto wie jaką sama miała młodość? Może była pokojówką lub kucharką u którego z wyższych urzędników i on, chcąc się jej pozbyć, wydał zamąż i zrobił go konduktorem!? Takie rzeczy bywają... Lecz jej zachowanie się pełne godności, szczerość, oburzenie, to przecież nie udanie, nie komedya. Kto wie, kto był jej ojcem, bo na córkę konduktora wcale nie wygląda, raczej na damę... I gdyby... gdyby... Nagle opamiętał się, że czas mija, zadzwonił i kazał zawołać Kudzyńskiego.

Wszedł przygnębiony i znękany. Już miał wiadomość, że inspektor wie o jego bytności u Traweckiej, o czem mu poszepnęła sama i był przekonany, że kara go nie minie, a miał żonę i dzieci... Odpowiadał spokojnie, oschle, zaprzeczył tylko agitacyi wśród personelu służbowego, o co go podejrzywał inspektor.

Wreszcie zawołano Stańskiego, który wbrew oczekiwaniu inspektora, nie okazał się ani szorstkim, ani gwałtownym. Gdy inspektor zarzucił mu agitowanie z zaniedbaniem obowiązków służbowych, odparł niezmieszany:

— Pan inspektor zechce przejrzeć moje akta służbowe, nikt nigdy nie uskarżał się na mnie i obowiązki swoje pełnię sumiennie. Nie zaprzeczam, że z tym i owym z kolegów mówiłem o przykrych stosunkach służbowych, ale nie uprawiałem agitacyi zawodowo.



Kontrola nad urzędnikiem rozciąga się nie tylko w biurze, ale i nad jego życiem prywatnem.

— A jednak zgromadzenie było liczne — uśmiechnął się inspektor— nawet znalazł pan chętnych do deputacyi.

— To tylko dowodzi, jak dalece czują wszyscy krzywdę, że jednej odezwy i kilku słów starczyło, aby się zebrali i powzięli uchwałę.

— Czy pan trwa w zamiarze założenia kasy? — spytał z miną niewinną.

— Naturalnie, ale niestety nie zależy to tylko odemnie.

— Hm... jeszcze jedno... dawno pan zna pannę Trawecką?

— Osobiście bardzo niedawno.

— To dobrze... a czy z panem Wapieńskim łączy pana przyjaźń?

— Czy to należy do badań? — uśmiechnął się ironicznie — moje przyjaźnie i nieprzyjaźnie są rzeczą prywatną.

— Jak się panu podoba... ja stawiam z urzędu to pytanie.

— Poznałem pana Wapieńskiego na zebraniu kolejarzy u panny Traweckiej.

Inspektor miał wielką ochotę spytać się o bliższe szczegóły stosunku pomiędzy Trawecką a Wapieńskim, ale powstrzymał go poważny spokój Stańskiego, a że zbliżała się trzecia godzina rzekł suchym tonem do Stańskiego:

— Protokół skończony.

VIII.

Zaledwie inspektor Lerche rozsiadł się na fotelu w swem biurze w piątek rano, gdy zabrzmiał dzwonek telefoniczny.

Wstał zwolna, przystąpił do aparatu, przyłożył słuchawkę i nagle drgnął poznawszy głos samego dyrektora. Słuchał i odpowiadał:

— Tak jest, panie hofracie, badanie skończone.

— Rozumiem panie hofracie... jutro przed dwunastą przyniosę.

Złożył telefonowi głęboki ukłon, jak gdyby przed dyrektorem, odłożył słuchawkę i zaklął:

— Dyabli z takim pośpiechem.

Znów usiadł za biurkiem, wyjął notatki z przesłuchiwania obwinionych, zapalił papierosa i rozmyślał, kto i w jaki sposób zawinił w tej sprawie.

Stański?... wina jego nie ulega wątpliwości, przyznał się do socyalizmu, pierwszy namawiał, organizował. wysłał deputacyę... tak jest, zawinił... To dziwne jednak, że on socyalista, a ubiera się dobrze, nie nosi czerwonej krawatki, długich włosów i zachowuje się poprawnie... ale bądźcobądź zawinił... a taki dobry, obowiązkowy urzędnik... Jeśli ja zaproponuję danie mu dymisyi, dopiero socyaliści zaczną mnie szarpać, przenicują moją przeszłość, wywloką różne sprawy... trzebaby odwlec wydalenie, bo czyż trudno znaleść dostateczny powód do dania mu dymisyi? Nic łatwiejszego, jeśli tylko się chce...

Ale ten Schilling, spojrzał gniewnie na jego akta osobiste, taki bezczelny impertynent, on śmiał drwić ze mnie w mojem biurze. „Wolny obywatel!?“, no, no i „niech się pan nie obawia o moją posadę!“ Dobrze, dam ja ci bobu, chybabym nie był inspektorem! Nauczę cię szacunku! Kudzyńskiego przeniesie się na przestrzeń... odechce mu się agitacyi raz na zawsze.

Berkholc?... tego trzymam w ręku, łajdak, bo łajdak, zdradził przyjaciół na pierwsze wezwanie... hm... ale tacy bywają potrzebni, wszystko powiedzą, co się knuje w głowach podwładnych. Dałem słowo, muszę dotrzymać... ale kara za memoryał być musi, trzeba go przenieść do innego wydziału, i przetrzymać jakiś czas na miejscu bez awansu. Innych ukarze się lżej lub ciężej, stosownie do woli dyrektora, działali bowiem w dobrej wierze i pragnęli jedynie kasy.

No, a Trawecka?!

Ładna, bo ładna, ale ona najbardziej zawiniła. Ona była tą Ewą, która podała jabłko Adamowi-Stańskiemu — uśmiechnął się — a on, jak zwykle każdy Adam, przyjął to jabłko w dobrej wierze. Hm... no, i ja chciałbym być jej Adamem — rozmyślał inspektor. Jakie ona ma śliczne usta, i ten owal twarzy, a figura... wszystko w niej ładne... Co jednak z nią zrobić? Jeśli postąpi sprawiedliwie i wydali z kolei, przepadła dla niego raz na zawsze. Znienawidzi go i nigdy jej nie ujrzy. A szkoda jej, bo ładna, szczera, taki niezwykły charakter... Musi ją jednak ukarać, to trudno, sama przyznała się do wszystkiego, nawet nie zaparła się socyalizmu. Lecz z drugiej strony, ona taka młoda, takie dziecko, uległa chwilowo teoryom zgubnym. Czy nie należy być wyrozumiałym? Czy to po ludzku, za jeden błąd karać tak surowo? Po co ma brać na swe sumienie jej przyszłość? gdyż naprawdę, cóż ona pocznie, gdy straci miejsce?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Katastrofa w gmachu giełdy.

W wieczór Sylwestrowy cały Rzym zaalarmowany został wielkim hukiem, który rozległ się silnem echem w najodleglejszych nawet dzielnicach miasta. W ślad za tem rozniosła się lotem błyskawicy wieść, iż anarchiści za pomocą bomb dokonali zamachu na giełdzie, chcąc w ten sposób zagrabić znajdujące się tamże fundusze.

Tłumy ludu pospieszyły na plac, gdzie wznosiła się dawnemi czasy świątynia Antoniusza Piusa, a obecnie znajduje się gmach giełdy rzymskiej. Oczom zebranych osób przedstawiło się wnętrze giełdy jako jedno rumowisko, z pod którego dobywały się jęki rannych. Jak stwierdzono następnie, wybuch nastąpił z powodu wydobycia się z rur wielkiej ilości gazu. Służba opuszczając w wigilię Bożego Narodzenia gmach giełdy, nie dość szczelnie pozakręcała kurki, wskutek też czego przez kilka dni świąt nagromadziła się w salach wielka ilość gazu. Po otwarciu giełdy jeden ze służby zaświecił zapałkę i w tej chwili nastąpił szalony wybuch. Na szczęście o tej porze mało znajdowało się ludzi w gmachu, tak iż mniej lub więcej rannych jest dwadzieścia osób, a zabita jedna.

Gmach cały przedstawia obecnie jeden obraz zniszczenia. Platformy szklane w głównej sali rozbiły się w kawałki. Całe urządzenie biur, salonów, telegrafów, telefonów i drukarni zostało doszczętnie zburzone. W dniu wybuchu znajdowała się na giełdzie znaczniejsza ilość pieniędzy, dla strzeżenia których zawezwano policyi.



Fot. A. Croce, Medyolan.

Katastrofa w gmachu giełdy: Wnętrze głównej hali w gmachu rzymskiej giełdy.

Uwiecznienie głosów.

Niezwykłej i jedynej w swoim rodzaju uroczystości dopełniono w zeszłym tygodniu w podziemiach paryskiej opery. Długie mroczne kurytarze, podobne z wyglądu do rzymskich katakumb, zaroiły się całem gronem dobranych gości, którzy mieli asystować przy zamurowywaniu głosów śpiewaków i śpiewaczek opery.

Na pomysł przekazania następnym pokoleniom głosów, które obecnie zachwycają Paryżan, wpadł znany chemik Clark. Zamiar swój uskutecznił za pomocą płyt gramofonowych w obecności wielu zaproszonych gości.

Płyty gramofonowe, na których uwieczniono głosy śpiewaków, pozakładano do specyalnych naczyń metalowych, które zalutowano po wypompowaniu z nich powietrza. Skrzynki te powstawiano następnie do porobionych na ten cel niszy, które szczelnie zamurowano. Ceremonię taką postanowiono powtórzyć w lat dwadzieścia, płyty zaś mogą być wyjęte tylko po upływie całego wieku, tak że dopiero prawnukowie obecnych pokoleń będą mogli się przekonać o rezultatach pierwszej ekshumacyi głosów z przed stu lat.



Uwiecznienie głosów: Wkładanie płyt gramofonowych do specyalnych naczyń metalowych.

Śmierć premiera Belgii.

Do liczby niepowodzeń, jakie w ostatnich czasach dość często nawiedzają króla belgijskiego, Leopolda, zaliczyć należy i śmierć prezydenta ministrów Trooza. Król ujrzał się skutkiem tego pozbawionym jedynego doradcy, który mógł załagodzić spory, wynikłe między koroną a parlamentem.

Juliusz Trooz, urodzony w roku 1857, po skończeniu nauk wstąpił do służby politycznej, w której od pierwszych chwil okazywał niezwykłe zdolności. Uznanie wszystkich stronnictw zjednał sobie za zarząd prowincyą Brabancyi, którą podniósł do kwitnącego stanu. Po wejściu do parlamentu otrzymał w gabinecie Smet de Naeyera tekę ministra spraw wewnętrznych i oświaty, a po upadku tego gabinetu, jedynego Trooza uznano za zdolnego do utworzenia nowego ministeryum.

Rządy Trooza przypadły na czas największych niesnasek wewnętrznych, wywołanych skandalicznem postępowaniem króla i jego podstępnemi knowaniami. Parlament wystąpił energicznie przeciw traktatowi o objęciu przez Belgię afrykańskiego państwa Kongo, które chociaż darowane narodowi, miało w dalszym ciągu zapewniać osobiste korzyści królowi. Groziło wskutek tego rozwiązanie Izby deputowanych i w następstwie rozruchy w całym kraju. Trooz jednak dzięki swej zręczności politycznej umiał zażegnać grożące przesilenie. Niestety nagła śmierć jego przerwała nawiązane rokowania z królem, który ujrzał się znowu sam wobec wrogo usposobionej ludności.



Śmierć premiera belgijskiego: Juliusz Trooz.

Oficerska tragedya.

Wieczny, nieśmiertelny trójkąt małżeński, temat niezliczonych dramatów teatralnych i dramatów życiowych, był znowu tłem, na którem w małem miasteczku Olsztynie w Warmii, rozegrała się przed kilkunastu dniami straszna tragedya. W wspomnianej miejscowości przebywał od lat kilku stacyonowany tam przy 10 pułku dragonów, major Schönebeck. Był to mężczyzna starszy już, u-

sposobienia zgryźliwego, do czego głównie przyczyniało się nienajszczęśliwsze pożycie małżeńskie. Pani majorowa bowiem, kobieta choć nie pierwszej młodości, ale pełna temperamentu, żądna uciech i rozkoszy zmysłowych, szukała poza ogniskiem domowem tego, czego przy boku podstarzałego męża zaznać nie mogła.

Do szeregu jej wielbicieli należał w ostatnich miesiącach kapitan artyleryi Goeben, codzienny niemal gość w domu majora. Rozpocząwszy karyerę w wojsku niemieckiem, służył następnie w



Oficerska tragedya: Morderca kapitan Goeben.



Oficerska tragedya: Zamordowany major Schönebeck.

armiach zagranicznych, odbył kampanię boersko-angielską, poczem powrócił do Niemiec i wstąpił ponownie w szeregi armii ojczystej, w randze ka-



Oficerska tragedya: Mieszkanie majora Schönebecka, gdzie w noc Bożego Narodzenia rozegrał się straszny dramat.

pitana. W lecie ubiegłego roku został przeniesiony do Olsztyna. Między majorową Schönebeckową a dzielnym kapitanem zawiązała się wnet nić serdecznej sympatyi, która przeszła potem w stosunek bardzo poufały.

Tajemnica tych dwóch serc stała się jednak w ostatnich czasach dość głośną, a i majorowi Schönebeckowi nie była ona obcą. Atmosfera też w spokojnym dotąd i cichym domku Schönebecków stawała się coraz bardziej naprężoną. Aż przyszła katastrofa...

W dniu drugiego święta Bożego Narodzenia znaleziono majora Schönebecka, leżącego bez życia na progu swej sypialni. Porzucony obok rewolwer zdawał się wskazywać początkowo, iż zaszedł tu wypadek samobójstwa, szereg dalszych jednak momentów dowiódł, iż na osobie majora dokonano ohydnego morderstwa. Podejrzenie zwróciło się odrazu przeciw kapitanowi Goebenowi, którego też pod zarzutem strasznej zbrodni uwięziono. Śledztwo potwierdziło domysły, wykazało też wspólnictwo majorowej Schönebeckowej w dokonanym mordzie. Bo tej namiętnej, zmysłowej kobiecie nie dość było, iż kala święte ognisko domowe ohydną zdradą, ale chciała uwolnić się na zawsze od starego, zgrzybiałego męża, choćby w tym celu przyszło popełnić najwstrętniejszą zbrodnię.

Szczegóły wykonania zbrodniczego planu pozostaną prawdopodobnie tajemnicą, pewnem jest tylko, że para kochanków działała w porozumieniu, którego następstwem była gwałtowna, tragiczna śmierć zdradzonego męża. Dowodzą tego listy, pisane przez majorową do Goebena, a znalezione w czasie dochodzeń. Wynika z nich jasno, że ta kobieta-potwór nastawała na kochanka, by zgładził jej męża ze świata. Potwierdza to też kapitan Goeben, dodając, że majorowa wywierała nań dziwny, a nadzwyczaj silny wpływ, któremu on się oprzeć nie mógł. Za zbrodnię swą też oboje poniosą zasłużoną karę.

„Wojna święta“ w Marokku.

Położenie dyplomatów francuskich, przydzielonych do tego burzliwego kraiku przez rząd republiki, stało się znowu bardzo trudnem, ponieważ ludność tamtejsza, która w części dotrzymywała wierności prawowitemu sułtanowi Abdul Azisowi, obecnie sprzeniewierzyła się mu, ogłosiła uroczyście w meczecie jego detronizacyę a proklamowała sułtanem samozwańca Mulej Hafida.

Przyczyną tej zmiany w przekonaniach ludności były sympatye, z jakiemi odnosił się Abdul Azis do znienawidzonych przez czarnych Marokańczyków chrześcijan, a zwłaszcza Francuzów. Fakt, iż pozostawał on z „niewiernymi“ w ciągłych stosunkach, że dopuścił ich do „świętego kraju“, a przedewszystkiem, że zamierzał Francyi oddać w zastaw na przeciąg 10 lat dochody miasta Fezu, wpłynął decydująco na stanowisko ludności wobec sułtana Abdul Azisa i wywołał nową, bardzo groźną burzę.

Następstwa detronizacyi Abdula Azisa, a proklamowania Mulej Hafida, będą doniosłe. Przedewszystkiem nastąpiło już oficyalne zerwanie stosunków z Francuzami, a wojska, które również przeszły na stronę nowego władcy, zbuntowawszy się przeciw prawowitemu monarsze, podniosły hasło „wojny świętej“. Wskutek tej zmiany położenia generał francuski d'Amade podjął również ofenzywę i ruszył ze swoimi wojskami w pole walki.

Wypadki najświeższe w Maroku wywołały w całym świecie, a zwłaszcza we Francyi olbrzymie wrażenie.

Dla uprzytomnienia sobie całkowitego położenia obcokrajowców, a zwłaszcza Francuzów w miastach marokańskich, należy zwrócić uwagę na stały stan anarchii, jaki od dłuższego szeregu lat



Oficerska tragedya: Żona majora Schönebecka, moralna sprawczyni morderstwa.

panuje w Marokku. Napaście na karawany, uprowadzanie podróżników, by potem żądać za uwolnienie ich znacznych okupów i ciągłe walki wzajemne szczepów, wywołały zupełną anarchię w kraju, która zwraca się przy każdej sposobności przeciw europejczykom, a przedewszystkiem przeciw Francuzom. Jeżeli można powiedzieć, że Marokańczycy niecierpią wogóle chrześcijan, to wprost nienawidzą Francuzów, którzy sami przyznają, iż gdyby odwołano wojsko z Casablanki, na drugi dzień nie byłoby tam ani jednego Francuza żywego.

Wszyscy też obywatele francuscy schronili się obecnie do Rabat, stolicy dotychczasowego prawowitego sułtana, Abdul Azisa. Ciało dyplomatyczne



»Wojna święta« w Marokku: Zdetronizowany sułtan Marokka Abdul Azis.



Z dziejów największego dziennika: Główny dyrektor »Times'a«, Artur Pearson, znany polityk angielski.



»Wojna święta« w Marokku: Wjazd posła francuskiego Regnault'a do Rabat na posłuchanie u sułtana.



»Wojna święta« w Marokku: Francuskie poselstwo w Rabacie, z posłem E. Regnaultem, sekretarzem de Beaumarchais i p. Doutté, znanym badaczem marokkańskim, po środku.

francuskie, które rezyduje w Rabacie, musi mieć się ciągle na ostrożności, by nie paść ofiarą niespodziewanego napadu. Schronisko ich, obstawione gęsto strażami francuskiemi, przedstawia małą uzbrojoną twierdzę, mimo to życiu ich grozi każdej chwili niebezpieczeństwo. Na czele dyplomatów francuskich stoi tam ambasador Regnault.

Z dziejów największego dziennika.

Jednym z najważniejszych wypadków dni ostatnich w Anglii, była niespodziewana wiadomość o zmianie, jaka zaszła w naczelnem kierownictwie dziennika londyńskiego „Times“. Dziennik ten cieszy się największą powagą i poczytnością w całym świecie, wskutek też czego z sądem, jaki on wydaje o sprawach bieżących, liczyć się musi nietylko premier angielski, lecz i prezydenci gabinetów obcych mocarstw. Każdy minister wraz z pocztą codzienną otrzymuje i ostatni numer „Times'a“, który posiada zawsze najszczegółowsze i najprawdziwsze wiadomości o wypadkach ze wszystkich zakątków świata. Korespondenci „Times'a“ umieją dotrzeć do gabinetów monarchów i ministrów i wyrobić dla siebie poważanie. Zdanie „Times'a“ o rozruchach w Rosyi, więcej wpłynęło na poglądy ministrów, niż niejedna krwawa manifestacya. Wspomnieć też tutaj należy o zmarłym już korespondencie „Times'a“ z Paryża, Blowitzu, który poprostu wpływał na kierunek polityki europejskiej.

„Times“ wyrabiał sobie posłuch ten na świecie przez całe dziesiątki lat, wychodzić bowiem począł w roku 1783. Od tego czasu znajdował się zawsze w rękach potomków swego założyciela, drukarza Johna Waltera, wskutek też czego powstała jakby cała autokratyczna dynastya redaktorów „Times'a“.

Ostatni redaktor zaprowadził w dzienniku swym rządy „konstytucyjne“, zamienił bowiem swoje wydawnictwo w towarzystwo akcyjne, a przez to dopuścił do wpływu na kierunek pisma i jego akcyonaryuszy.

Historya rozwoju tego dziennika jest niezmiernie interesującą. „Times“ początkowo ukazywał się pod nagłówkiem „London daily universal Register“, po pięciu jednak latach przyjął swój obecny tytuł.

Pierwsze numery pisał i drukował sam John Walter ze swemi dziećmi, z biegiem jednak czasu redakcya i drukarnia ciągle rosły. Walter dla otrzymywania szybszych wiadomości zorganizował własną służbę pocztową na specyalnych okrętach pośpiesznych i pociągach, które mu dostarczały wiadomości z całego świata. Dzisiaj zakłady „Times'a“ przedstawiają się w Londynie jakby jakaś oddzielna, zamknięta w sobie kolonia pracowników, nad którymi ster objął obecnie znany angielski polityk, Arthur Pearson, za co pobiera roczne wynagrodzenie w wysokości 265 tysięcy koron.

Sporty zimowe.

Niezmiernie pocieszającym objawem jest widoczny w naszym kraju od paru lat ruch sportowy, ruch coraz żywszy i coraz szersze zataczający kręgi. Choć daleko jeszcze nam do tego zrozumienia wartości sportów, zwłaszcza zimowych, tego zrozumienia, jakie mają inne społeczeństwa, zwłaszcza Anglicy a nawet Niemcy, a jeszcze dalej do



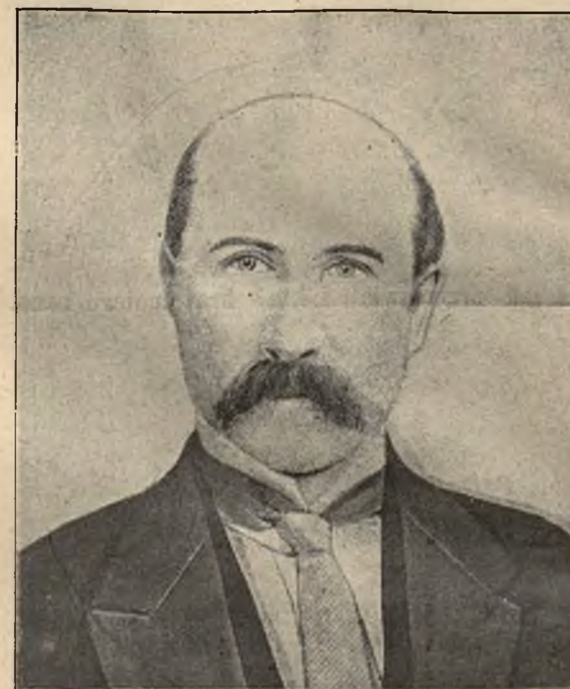
Sporty zimowe: Grono członków zakopiańskiego oddziału narciarzy.

rozpowszechnienia ich wśród szerokich warstw, przecież z uznaniem powitać i poprzeć należy bodaj te pierwociny, te zaczątki ruchu sportowego, jakie widoczne są w ostatnich czasach.

A przecież nie brak w naszym kraju terenów wprost wspaniałych, zarówno dla narciarstwa, jak dla saneczkowania. Nietylko przecudne okolice tatrzańskie, całe Zakopane i jego otoczenie w zachodniej Galicyi, nietylko Jaremcze i Worochta we wschodniej, ale najbliższe okolice każdego niemal miasta pełne są pięknych, górzystych i nadających się stąd doskonale do obu gałęzi sportu zimowego, terenów. Trzeba tylko zachęty, trzeba przykładu i ułatwień rozmaitych, zarówno dla młodzieży jak i starszych.



Sporty zimowe: Grono krakowskich sportowców, saneczkujących się w Czernej pod Krakowem.



Z dziejów największego dziennika: Artur Walter, dotychczasowy redaktor »Times'a«.

Zrozumiał to kraj. Związek turystyczny i jako jeden z ważnych punktów swego programu przyjął propagandę sportów. Dzielnie go wspierają w tem istniejące w kraju towarzystwa sportowe, jak lwowskie tow. zabaw ruchowych i akademicki związek sportowy we Lwowie, lub krakowski „akademicki klub sportowy „Cracovia“ i zakopiański oddział narciarzy.

Najruchliwszym jest dotąd zakopiański oddział narciarzy, który w ostatnich dniach ubiegłego roku urządził kurs uprawianego przez swych członków sportu, pod kierunkiem porucznika Bobkowskiego i p. Zaruskiego. Członkowie zaś odbywają ciągłe wycieczki w przecudne okolice Zakopanego, rozkoszując się nietylko miłym a tak dla zdrowia pożądanym ruchem, ale i uroczymi widokami tatrzańskimi.



Sporty zimowe: Oryginalny zaprzęg saneczkowy.

W ostatnich czasach i Krakowianie używają sportów zimowych, a mają ku temu w najbliższej okolicy prześliczną miejscowość, Czerną pod Krzeszowicami, której położenie ma tyle wdzięku, tyle uroku, iż dziwić się należy nieznacznej tam dotychczas frekwencyi publiczności krakowskiej. Górzysty teren tej miejscowości nadaje się doskonale zarówno do narciarstwa, jak do saneczkowania.

To też w pogodne dni zimowe coraz liczniejsze drużyny sportowe z Krakowa pojawiają się w Czernej i bądź to puszczają się w dalsze zakątki na nartach, bądź też z zamiłowaniem oddają się saneczkowaniu. A jest ono istotnie nad wyraz miłą rozrywką. Zwłaszcza zjazd z góry, gdy sanki, na których usadowiły się pojedyncze osoby lub parami, mkną z chyżością wichru po równej, białej powierzchni śniegu, ma sam w sobie bardzo wiele uroku, a otoczenie, przepiękna okolica, humor uczestników zabawy, urok ten potęgują. Najważniejszą jednak zaletą tego prawdziwego zimowego sportu, jest jego hygiena. Wiadomo, jak korzystnym dla zdrowia jest ruch na wolnem, świeżem powietrzu. A saneczkowanie daje do takiego ruchu aż nadto sposobności.

Szereg zdjęć, dokonanych w Czernej i Zakopanem, a umieszczonych w dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“, daje tylko słabe pojęcie o przyjemnościach obu sportów i o piękności naszej przyrody w zimie. Trzeba to wszystko widzieć własnemi oczyma, aby odczuć należycie i pokochać. Dostęp do Czernej, wobec bliskości jej położenia od Krakowa i wygodnej komunikacyi kolejowej z Krzeszowicami, jest bardzo łatwy, spodziewać się więc można, iż drużyny sportowe z Krakowa coraz częściej i coraz liczniej odwiedzać będą tę piękną miejscowość.



Sporty zimowe: Jazda w górę na saneczkach.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

6 Ciąg dalszy.

Dziwnem mi się to wydało, bo przecież pan Curt byłby mi sam wydał taki rozkaz, gdyby był pozwolił na sprzedaż tych kloców. Pan Curt, co się trząsł nad każdą gałązką, przecież tegoby nie czynił i lasu nie szczerbił przez wycinanie najgrubszych drzew. Jakoś zmiarkował moje wahanie się pan Erich i rzekł dosyć przyjacielsko jak na niego: „Ja to sprzedaję na własną rękę, więc pan nie potrzebuje tego zgłaszać przy raporcie. To mego brata nic nie obchodzi. Kupcy obowiązani zapłacić panu poczwórne pniakowe". Słyszałeś pan, panie doktorze, co? do mnie — uczciwego człowieka tak przemawiał; i kto? brat mojego pana. Taki mnie wstyd ogarnął, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Juścić widoczne złodziejstwo, rodzonego brata chce okraść. Brat złodziej! Ze mnie chciał sobie zrobić wspólnika, przekupić mnie poczwórnem pniakowem!

Byłbym mu wtedy w gębę plunął. Dopiero po długiej chwili zebrałem się na odpowiedź, że nie mogę nic robić bez rozkazu pana Curta. Czy pijany był, czy go wściekłość oślepiła, dość, że krzyknął na mnie, obsypał przezwiskami i na odchodnem zawołał: „Pożałujesz tego głupcze!"

Nie mówiłem o tem panu Curtowi, bo jakoś mi wstyd było i żal taką rzecz bratu powiedzieć o bracie. Myślałem sobie, że będzie dosyć czasu, jakby owi kupcy przyszli i drzewo zabierać chcieli. Ale jakoś skończyło się na niczem, kupcy nie przyszli, widać, że albo sumienie pana Ericha ruszyło, albo też brata się uląkł.

Ale miałem ja też za swoje! Przy każdej sposobności zasypywał mnie złośliwemi uwagami, to mi dawał jakieś nauki, to przed panem Curtem wyśmiewał moje zarządzenia. Żeby to chociaż znał się był na czem, ale o leśnictwie żadnego nie miał pojęcia. Drażniło mnie to bardzo, ale znosiłem wszystko cierpliwie i pocieszałem się tem, że sobie znowu gdzieś pojedzie.

Jakoś w kilka tygodni potem, wstałem, jak zwykle o świcie, i poszedłem w las. Coś tam w gąszczach nagle zaszeleściało, jakby się ktoś przedemną schował. Myślałem, że kłusownik, więc puszczam psa i każę mu wąchać; pies mnie prowadzi i wnet stanąłem oko w oko z panem Erichem. Ukłoniłem się grzecznie, ale on spojrzał na mnie z taką wściekłością, żem się cofnął o krok. „Czego tu chcesz łajdaku?" zawołał do mnie. „Jestem w lesie, bo to mój obowiązek, a z przeproszeniem wielmożnego pana łajdakiem nie jestem" odpowiedziałem mu grzecznie i spokojnie. „Szpiegu! łotrze! śledzisz mnie! Psa na mnie szczujesz" — wołał — pieniąc się ze złości. O — już i mnie brakło cierpliwości. Odezwałem się głośno: „Nie pozwolę się obrażać. Jestem uczciwym człowiekiem; jabym brata mojego nie oszukiwał i nie okradał". „Milcz wściekły psie" krzyknął ten złodziej, przyskoczył do mnie nagle i uderzył mnie pięścią w twarz. Słyszysz pan? uderzył mnie pięścią w twarz.

Ostatnie wyrazy wypowiedział tak, że z nimi wydarł się z jego piersi już nie krzyk zbolałego człowieka, ale jak ryk lwa zranionego. I ten zgarbiony zwykle i posłuszny staruszek, wstał teraz jak olbrzym, jakby gladyator, sposobiący się do walki z ramionami podniesionemi w górę, z pięścią zaciśniętą. Z oczu tryskały mu płomienie gniewu i oburzenia. Tupnął nogą, wstrząsł jeszcze raz pięściami i jeszcze raz ryknął:

— Uderzył mnie pięścią w twarz!

Znowu nastało milczenie, znowu usiadł stary, znowu wsparł głowę na dłoniach i pogrążył się w zamyśleniu.

Wolfgang doznał szczerego wzruszenia i powziął wielkie dla starca współczucie. Z rozrzewnieniem przypatrywał się tej zbolałej fizyognomii człowieka, który na samo wspomnienie krzywdy, przed trzydziestu laty doznanej, tak bardzo cierpi.

Ocknął się Barlow, potarł czoło i głosem spokojnym już, ale zbolałym i ponurym mówił dalej:

— Ot, panie! trzeba skończyć, a to właściwie dopiero początek. Pana to już nudzi, ale muszę wygadać wszystko.

Jak mnie wtedy tak znieważył, zakipiało we mnie, chwyciłem go za ramiona i pchnąłem tak silnie, że upadł na ziemię. Wróciłem zaraz do domu i opowiedziałem o wszystkiem mojej żonie; byłem pewien, że po tem, co się stało, pan Curt wypowie mi służbę natychmiast. Chciałem żonę przysposobić, aby złe niespodzianie na nią nie spadło i jak się pokazało, źle uczyniłem, nieszczęście ściągnęłem na siebie. Miałem to przekonanie, że pan Erich zaraz poskarży się bratu, dlatego, opowiedziawszy o wszystkiem żonie, pospieszyłem do pałacu, poprosiłem pana Curta o posłuchanie i opowiedziałem o wszystkiem prawdziwie i sumiennie, tak jak było i zarazem poprosiłem o uwolnienie ze służby. Pan Curt wysłuchał tego wszystkiego obojętnie, spytał się, jak pan Erich był ubrany i czy nie szedł w kierunku z Eisenstein? No juścić tak było, że widocznie z Eisenstein wracał, więc powiedziałem, a na to pan Curt rzecze: „Narazie nie mam powodu oddalać cię ze służby, muszę wprzód wszystko wyjaśnić i rozważyć. Jeżelibym uznał za stosowne uwolnić cię od obowiązków, to nic byś na tem nie stracił, bo dałbym ci całoroczną pensyę i dopóty o tobie pamiętał, dopókibyś nie otrzymał odpowiedniej dla siebie posady". Osłupiałem na te słowa, bo wpierw byłbym się śmierci spodziewał, niż takiej wyrozumiałości i dobroci pana Curta.

Wracam koło południa do domu, aż tu już po całej wsi ludzie sobie rozpowiadają o tem, co się stało, a że pana Ericha nie lubili, więc też z uciechą wielką opowiadali sobie, jaką to odemnie dostał naukę.

Gadali o tem ludzie w całej wsi, bo moja żona, gdym tylko wyszedł do pałacu, zaraz najbliższym sąsiadkom opowiedziała, a te pobiegły znowu dalej i we dwie godziny już wszyscy o tem wiedzieli, od wójta, do najmłodszego pastucha. To panie było moje nieszczęście.

We dwa dni potem w nocy zamordowano pana Ericha w lesie. Nie zaraz się rzecz wykryła, bo pan Erich rzadko kiedy noce spędzał w domu i niekiedy dopiero koło południa do domu wracał. Gdy na południe nie wrócił, lokaj doniósł o tem panu Curtowi, ale pan Curt niepokoju nie okazał, a i służba w pałacu myślała, że pewnie wróci aż dnia następnego, gdyż i tak się wydarzało, że po dwóch nocach do domu wracał. Gdy już drugi dzień minął, a pana Ericha nie było widać, pan Curt zaczął się niepokoić i rozesłał ludzi, żeby brata szukali. Nie można było przypuszczać, że nagle wyjechał, bo i wszystkie ubrania i przybory podróżne były w mieszkaniu nie tknięte; brakowało tylko tego myśliwskiego ubrania, w którem na wycieczki wychodził.

Myśleliśmy wszyscy, że gdzieś się w górach zabłąkał i tam spadł ze skały, więc dobrałem sobie leśnych i przetrząsałem wszystkie lasy, a znałem tam każdy kąt, każdą kępę, każdy kamień, każdy strumyczek leśny. Przez dwa dni szukaliśmy daremnie; nigdzie ani śladu.

Aż tu pewnego dnia zjeżdżają z miasta jacyś panowie do pałacu, jak się pokazało komisya sądowa. Z tymi panami przybył też Wilhelm Rössner z Eisenstein, łotrzyk znany ogólnie, niebezpieczny, przebiegły kłusownik. Wyrządzał on wielkie szkody, dlatego od kilku dni czyhałem, aby go pochwycić. Dziwiło mnie to bardzo, jakim sposobem się to stać mogło, że ten opryszek z komisyą sądową przyjechał.

Dopiero co zasiadłem do obiadu i zaledwieśmy z żoną zjedli po łyżce rosołu, przyszedł Fryc, lokaj pana Ericha i w sposób prostacki i zuchwały zawołał do mnie, abym natychmiast udał się do pałacu. To mnie oburzyło, zwłaszcza, że od świtu byłem na nogach — zmęczony, zgłodniały, więc rzekłem niecierpliwie: „Przecież się nie pali, niechże wprzód zjem obiad. Jak Fryc powie wielmożnemu panu, że dopiero co siadłem do obiadu, to się wielmożny pan z pewnością nie pogniewa i poczeka". „Nie przyszedłem tu na próżne gadanie", zawołał Fryc jeszcze zuchwalej. „Komisya sądowa kazała zaraz leśniczego przyprowadzić. Dalej, w drogę — bo będzie źle". Tego mi było za dużo; porwałem zuchwalca za kark, potrząsłem nim, że aż kości w nim zatrzeszczały i krzyknąłem: „Błaźnie, jak śmiesz w taki sposób przemawiać do mnie" i wyrzuciłem go za drzwi. Przed domem wszczął się hałas, za chwilę znowu nagle drzwi się otwierają, wchodzi żandarm, a z nim dwaj policyanci wiejscy. Policyanci rzucają się na mnie, żandarm skuwa mi ręce. „Co to jest?" — wrzasnąłem — gwałt! bezprawie!" Wściekłość mnie taka ogarnęła, że potrząsłem łańcuszkami, żeby je rozerwać, ale żandarm odezwał się łagodnie, po przyjacielsku: „Nie rób głupstw, Barlow. Żebyś był wyszedł dobrowolnie, jak Fryc po ciebie przyszedł, byłbym ci tej przykrości nie wyrządzał, ale tak przepis każe, musiałem to zrobić. Zresztą kto jest posądzony, nie jest jeszcze zasądzony. Nie rób głupstw i chodź spokojnie". To był dawny kolega z wojska, znaliśmy się dobrze. Posłuchałem go, a jeszcze bardziej mojej żony. Ona stanęła przy mnie i rzekła mi z wielkiem przejęciem: „Czemuż się oburzasz? Tyś niewinny! więc wstyd nie dla ciebie, ale dla tych, co cię niewinnie posądzają. Idź spokojny, ja tu będę się modliła, aby Bóg ochronił cię od krzywdy!"

I wyszedłem z domu mojego jak zbrodniarz skuty łańcuchami, pod bagnetem żandarma — w otoczeniu policyantów, a po drodze roiło się od ludzi. Zdawało mi się, że powinni rzucić się w mojej obronie, że powinni przynajmniej okazać mi życzliwość, współczucie. Nie — wszyscy patrzyli na mnie z podełba, albo się odwracali i tak szedłem pół godziny do pałacu w takich strasznych mękach. Przed pałacem zbiegowisko wielkie i wiejskich ludzi i służby dworskiej. Patrzą na mnie z urąganiem, lokajstwo się uśmiecha. Straszne to było! Panie doktorze — tego sobie ty nie wyobrazisz. Żebym tysiąc lat żył, tobym tej strasznej chwili nie zapomniał.

Wprowadzono mnie do sali. Za stołem zasiadła komisya sądowa; przy stole, oparty o ścianę stał pan Curt, taki blady, przygnębiony, jakim nie widziałem go nigdy. Gdy mnie zobaczył skutego, krzyknął gniewnie: „Z czyjego to rozkazu włożono kajdany na uczciwego człowieka; to nadużycie prawa" i podsunął się do mnie, jakby chciał na mnie łańcuszki rozerwać. Przewodniczący komisyi przemówił do pana Curta bardzo surowo i kazał mu ustąpić, ale też zapytał żandarma, dlaczego mi łańcuszki założył. Wtedy to Fryc zaczął łgać bezczelnie, żem się rzucił na niego, żem go zbił i że zagroziłem strzelaniem, jeżeliby mnie przemocą zabrać chcieli. Dlatego to żandarm skuł mnie łańcuszkami, bo Frycowi uwierzył.

Ale to wszystko nic; teraz dopiero zamroczyło mi się w głowie, kiedy prezes komisyi powiedział, że zamordowałem pana Ericha. Niewiedziałem w tej chwili, czy to sen, czy jawa; czy ja zwaryowałem, czy waryaci siedzą przedemną. Zdawało mi się, że ziemia przedemną się rozpada, język skołczał. Ocknąłem się dopiero, gdy przewodniczący głośno zapytał, czy się dobrowolnie do winy przyznam.

Ocknąłem się na dobre i zawołałem, że mordercą nie jestem i mordercą nigdy w życiu nie będę, a kto mógł mnie o to posądzić, albo łotrem jest, albo waryatem. Wtedy skinął przewodniczący i wprowadzono Wilhelma Rössnera. Wszedł ten kłusownik bezczelny i przypatrzył mi się z szyderstwem. Przewodniczący odezwał się do niego urzędownie: „Niech świadek powtórzy swoje zeznania wobec obwinionego".

On poczynił zeznania, to znaczy, że on mnie obwinił. Taki łotr, taki złodziej. I uwierzono mu! Spojrzałem na niego, jak na upiora! On stanął sobie przy mnie i mnie w żywe oczy tak opowiadał: „W ową noc poszedłem do lasu, żeby ukraść trochę gałęzi. Umyślnie poszedłem ponad koci wąwóz, bo przez niego płynie strumyk, a woda w nim ciągle szumi. Wtedy nawet była woda wezbrana, wiec szumiała tak, że mogłem drzewo piłować, nie bojąc się, aby kto posłyszał. Wąwóz jest dość szeroki, ale z jednego brzegu na drugi doskonale wszystko widzieć można. Piłuję ja drzewo, aż tu patrzę: idzie pan Erich ponad drugim brzegiem wąwozu. Księżyc był w pełni, widziałem go doskonale, poznałem odrazu. Miał strzelbę na ramieniu i szedł w kierunku Eisenstein. Było to jakoś nie długo po północy. Skryłem się za drzewo, aby mnie nie zobaczył i czekam, rychło przejdzie. Aż tu niespodzianie zjawia się leśniczy Barlow i zastępuje drogę panu Erichowi. Musieli się bardzo kłócić, bo widziałem jak sobie odgrażali rękoma, ale że szum wody był wielki, słyszeć kłótni nie mogłem. Niedługo kłótnia ta trwała, bo wnet wzięli się za bary, zaczęli się mocować, huknął strzał i pan Erich spadł do wąwozu. Brzegi wąwozu bardzo wysokie, skaliste, więc kto na dno spadnie zabić się może, a jakby się zabił, to wezbrana woda ciałoby zaraz uniosła. Przestraszyłem się wtedy bardzo, poszedłem do domu. Że jakoś przez dwa dni cicho było w pałacu i we wsi, i nikt o śmierci pana Ericha nie mówił, pomyślałem sobie, że może nic mu się nie stało, że się uczepił jakiego odłamka w skale, albo jakiego krzaka i że wrócił zdrowo do domu. Ale gdy się pokazało, że pana Ericha niema, że się nagle gdzieś podział, wtedy poszedłem do sądu i opowiedziałem wszystko jak było, chociaż wiedziałem, że mnie kara czeka za kradzież drzewa. Widziałem wszystko tak dobrze, że na to, com tu powiedział i sto razy przysiądz mogę".

Co miałem na to powiedzieć? Juścić, że kłamstwo i tak też powiedziałem. Owej nocy nie wychodziłem nawet do lasu, od wczesnego wieczora, aż do rana spałem najspokojniej w domu. Powołałem się na świadectwo wszystkich domowników,

a przedewszystkiem mojej żony, że wcześnie położyłem się do łóżka. Przesłuchali też i moją żonę i moich służących, ale tych świadectw sąd nie uwzględnił. Powiedziano, że świadkowie wprawdzie zeznają, że się wczas do łóżka położyłem, ale też zeznają i to, że sami spali twardo przez noc całą, a skoro tak, to ja mogłem był w czasie ich snu wyjść o północy z domu zupełnie niepostrzeżenie, popełnić zbrodnię w lesie, i znowu niepostrzeżenie powrócić.

Pan Dossenau wyglądał przez cały czas tego posłuchania jak upiór. Oczy się mu zapadły, twarz była sina, drżał jakby nim febra trzęsła. Kiedy po przesłuchaniu przewodniczący komisyi orzekł, że muszę być odstawiony do więzienia, jako o zbrodnię silnie poszlakowany, pan Curt przyskoczył do komisyi i zawołał: „Ręczę honorem i całym majątkiem moim za niewinność tego człowieka“. Nic to nie pomogło, kazano mi natychmiast siadać na wóz, z żandarmem i policyantami. Pan Curt temu stanowczo się oparł, kazał zaprządz do karety i karetą mnie odwieść. Prosiłem, aby mnie pozwolono pożegnać się z żoną, która wówczas była bliską rozwiązania. Ci nielitościwi ludzie odmówili mi i tego, ale pan Curt i teraz się uparł i wymógł to, że z żoną pożegnać się mogłem. Wsiadł ze mną i z żandarmem do karety i pojechaliśmy przed moje mieszkanie. Dokoła domu wielkie było zbiegowisko. Wysiąść mi z karety nie pozwolono, ale wysiadł pan Curt, poszedł do mojej żony, uspokoił ją i ująwszy pod rękę, przyprowadził do mnie. Uściskałem żonę i oboje zalaliśmy się łzami. Pan Curt zawołał głośno, tak — żeby cała gawiedź przed domem słyszała: „Wiem o tem dobrze, że jesteś niewinny mój kochany Barlow; użyję wszelkich środków, aby twoją niewinność wykazać. Tymczasem bądź spokojny o żonę; będę o niej pamiętał, jakby mi siostrą była rodzoną“. Podał mi rękę i uścisnął mnie. Żona chciała coś mówić, ale sędzia jechać kazał, konie ruszyły odrazu kłusem z miejsca; spojrzałem przez okno karety i zobaczyłem, jak moja żona padła omdlała i jak ją pan Dossenau podniósł i cucił.

Wtedy to panie doktorze przysiągłem, że wyszukam zbrodniarza i że krwawo pomszczę się na nim za te łzy mojej żony, za tę boleść jej straszną, za śmierć dziecka, które owego dnia w łonie matki zamarło.

Taka to historya mojego życia.

Wolfgang widział, że siły starca prawie zupełnie wyczerpane, zapytał więc, aby przerwać dalsze opowiadanie:

— Czy ciała zamordowanego nie znaleziono nigdzie?

— Nie panie doktorze! Woda w strumyku była wtedy wezbrana i pewnie uniosła zwłoki do rzeki, a tam już wezbrane fale może je gdzie zamuliły, albo wyrzuciły gdzieś daleko stąd na brzeg i tam albo zwierz je poszarpał, albo może jacyś ludzie pochowali.

— A czy nie padło też podejrzenie na kogo innego? ot choćby na owego Rössnera? Wszakże można było przypuszczać, że właśnie taki kłusownik sam dopuścił się zbrodni, a przeciw panu fałszywie zeznał.

— W tem wszystkiem było to najgorsze, że na dwa dni przedtem miałem tę przygodę z panem Erichem. Gdy się ludzie dowiedzieli o jego zniknięciu, zaczęli rozpowiadać, że to pewnie ja go przez zemstę „sprzątnąłem“. No i w sądzie upierali się przy tem. Na Rössnera podejrzenie ludzkie nie padło, bo wiedziano, że pan Erich go lubi i na polowanie ze sobą bierze. Ja podejrzywałem Rössnera, ale pan Curt mi zaręczył, że Rössner niewinny i to mi wystarcza. Ja święcie w to wierzę, co pan Curt powie.

Wolfgang upatrywał coś wzruszającego w tem ślepem zaufaniu leśniczego do Curta Dossenaua; Dossenau był dlań wyrocznią, a słowa jego jakby jakiemś przykazaniem Boskiem.

— A jeżeli pan Erich nie został zamordowany, tylko uszedł zamachu szczęśliwie i gdzieś się ukrywa? Albo może wcale nie było na niego zamachu i zniknął, może z obawy przed wykryciem jakich skandalicznych długów?

— Ależ to niemożebne panie doktorze! Jakże też można przypuścić, ażeby człowiek tak do zbytków przyzwyczajony, puścił się w świat w zwykłem ubraniu myśliwskiem, bez pieniędzy. Jakże można przypuścić, żeby przez tyle lat nie dał o sobie żadnego znaku? Z czegóżby on żył w świecie? To panie wprost nie możliwe.

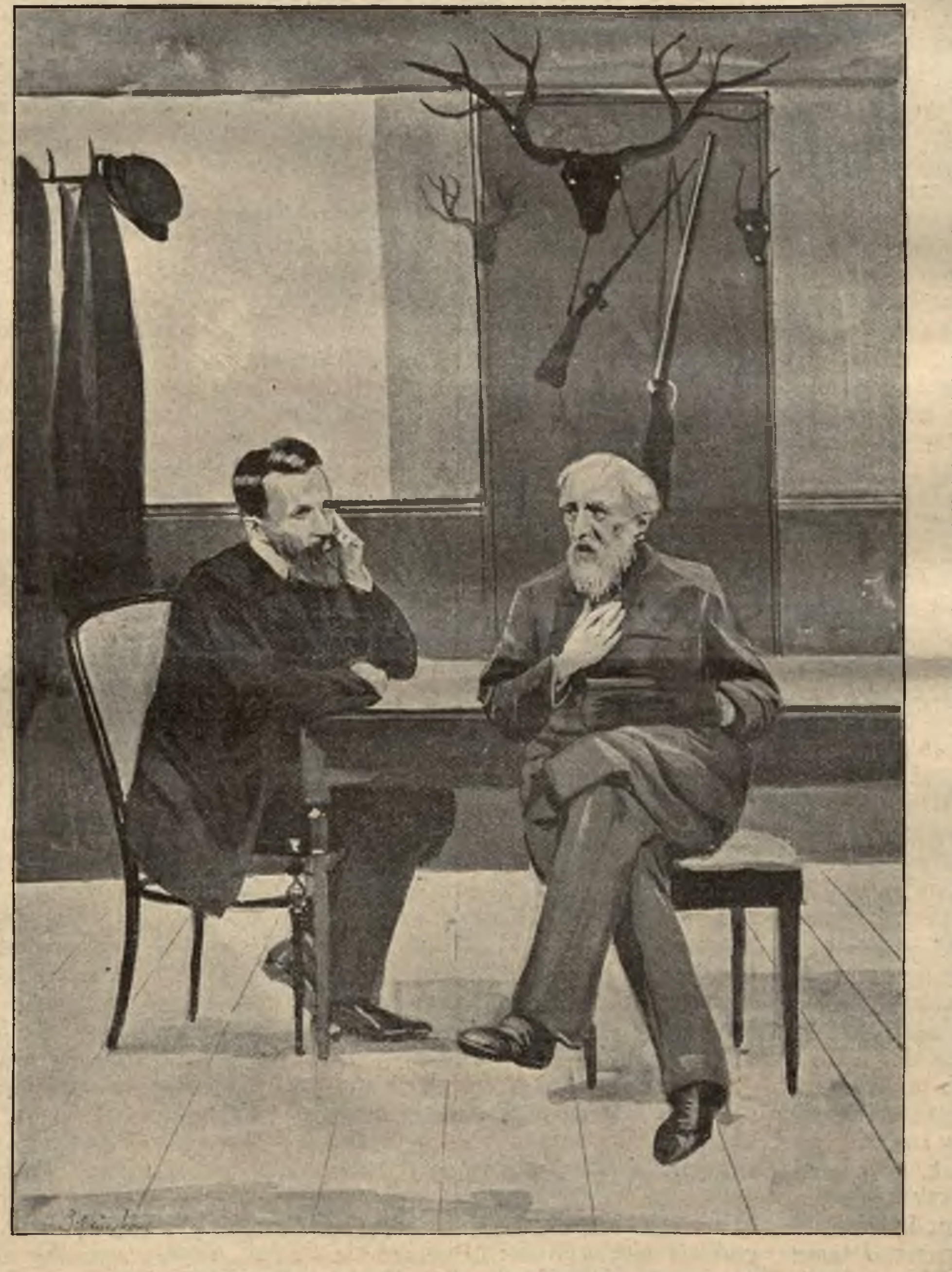
— A gdy pana wypuszczono po kilku miesiącach z więzienia, nie podejmowano już dalszego śledztwa?

— I owszem. Śledzili żandarmi, śledziła policya, ale niczego dociec nie zdołano i ludzie po dawnemu myślą, że to ja jestem mordercą, ale żem się zaparł — to mnie puścili dla braku dowodów.

— A gdzież teraz ów Rössner przebywa?

— Przepadł bez wieści. Gdy mnie zamknęli, on pojechał do Ameryki, jak ludzie mówili, i od owego czasu nikt już o nim nie słyszał.

— Czemuż pan nie opuści tego miejsca tak



On poczynił zeznania, to znaczy, że on mnie obwinił. Taki łotr, taki złodziej.

przykrego, gdzie tyle bolesnych wspomnień pana dręczy?

— Co? — krzyknął Barlow — miałbym stąd uciekać? toby znaczyło, że się poczuwam do winy. Tu zostanę do ostatniego tchnienia życia i tu będę do ostatniego tchnienia szukał zbrodniarza, a gdy go znajdę, biada mu! Wtedy będę mordercą!

Stary padł na krzesło, zmęczony wysiłkiem; Wolfgang bardzo był wzruszony. Nagle rozwarły się drzwi i na progu stanął Dossenau. Widać, że na pierwszy rzut oka domyślił się, jaka to była rozmowa, więc pół rubasznie odezwał się do leśniczego:

— Pewnie ci się stary zdawało, że doktor jest sędzią śledczym i opowiadałeś mu swoje historye. Masz czem gości bawić! A to się doktorowi udała przechadzka.

Leśniczy przybrał pokorną postawę, jaką miał zwykle w rozmowie z Dossenauem i rzekł drżącym głosem:

— Niech pan wybaczy, ot zapomniałem, jakoś mi się tak wyrwało.

— Oj stary, stary! A pan panie doktorze nie szczególnie spędzasz dzień dzisiejszy. Początek twojego wygnania smutniejszy, niż się spodziewałeś. Gdybym był wiedział, że Helena zostawi tu pana, to byłbym ci był sam towarzyszył. A to niepoprawny nudziarz! Chodźmy już doktorze! No bądź zdrów stary.

Podał serdecznie rękę leśniczemu i wyszli z doktorem.

— Pójdziemy teraz inną stroną lasu, boście pewno z Heleną szli prostą drogą z Alltropen do Dossenau. Zboczymy sobie cokolwiek, abyś poznał prawdziwy urok leśny. Czyś ty słyszał kiedy doktorze, jak las umie mówić? Jak on w smutku pocieszy, uspokoi, jak kiedyindziej tak ci swoim szumem pogrozi. że aż sumienie poruszy. A ostrzega też, jak najlepszy przyjaciel, jeżeli jaka pokusa do złego ciągnie. Trzeba tylko głos lasu rozumieć, a przedewszystkiem trzeba las kochać, bo kto go nie pokocha, do tego się nie odezwie. Trzydzieści lat spędzam na tych rozmowach, z tym najmilszym moim towarzyszem. Ale co ci tu o tem mówić. Wyrosłeś na miejskim bruku i nie rozumiesz przyrody.

— Być może, że nie rozumiem jej tak dokładnie, ale rozumiem ją i oceniam inaczej. Dla mnie jest ona źródłem uniesień estetycznych i religijnych, ale nie zdołałaby ani uśpić we mnie głosu sumienia, ani go obudzać.

— Małoś jeszcze doświadczył w życiu. Ja, stary, znałem już takich, co byliby może w łeb sobie strzelili z ciężkiej zgryzoty, że coś na sumieniu mieli, a że oderwali się od świata i ludzi, a zbliżyli do tej niby to martwej -przyrody, znaleźli spokój i pogodzili się sami ze sobą.

— Nie przeczę, że tacy byli, są i będą, ale zdaje mi się, że ów spokój i zgoda ze samym sobą, to tylko złudzenia, które każdej chwili rozwiać się mogą, jeżeli uśpiony, wśród ciszy zewnętrznej, głos sumienia odezwie się tak silnie, że zagłuszy usypiającą piosenkę lasu.

Dossenau popatrzył na Wolfganga przeciągle; widać, że te słowa bardzo go zajęły. Szli jakiś czas, nic nie mówiąc do siebie.

Wolfgang przypomniał sobie, jak przed dwiema godzinami szedł lasem z Heleną. Przypomnienie to sprawiło mu wielką przyjemność. Mimowoli nasunęło mu się porównanie Heleny z Ellinorą. Co za różnica? U tej prawdziwa dystynkcya, prostota, niewinny wdzięk niewieści, powaga i takt zdumiewający; u tamtej wyzywająca kokieterya, pospolitość, płytkość i wulkaniczne wybuchy namiętności. U tej charakter niepospolity, dobroć serca, poświęcenie się dla starego ojca; u tamtej próżność, żądza zabaw, widoczne samolubstwo.

Z tych rozmyślań wyrwał go głos towarzysza.

— A co? prawda, że ten Barlow to już dziecinnieje prawdziwie pod wpływem tych ciągłych marzeń o wykryciu zbrodniarza. Musiał cię bardzo znudzić?

— Przeciwnie, panie Dossenau, zajął mnie i do głębi wzruszył; to charakter niepospolity. W tej jego uporczywej myśli, aby oczyścić swe życie z hańbiących podejrzeń, jest coś prawdziwie bohaterskiego, coś rycerskiego, w najlepszem tego słowa znaczeniu. Może nie wielu było rycerzy średniowiecznych, którzyby tak pojmowali swój honor i tak go cenili. Powziąłem prawdziwą cześć dla tego człowieka, a najżywsze współczucie dla jego cierpienia.

— Czy pan myśli, że cierpienia Barlowa są większe od tych, jakich niezawodnie doznawał i doznaje prawdziwy zbrodniarz? Barlow ma czyste sumienie, wobec Boga i samego siebie jest niewinny, a więc i spokojny być może. A morderca? Czy ukrycie się przed sądem zapewniło mu spokój wewnętrzny? Bardzo wątpię.

— Zapewne. Spokoju mu zapewnić nie mogło, bo musi podwójnie sobą pogardzać, bo stał się podwójnym zbrodniarzem: jednemu życie odebrał, drugiemu je złamał. Jeżeli to człowiek z jakiem takiem poczuciem ambicyi, musi też sam sobą pogardzać i dlatego, że był podłym tchórzem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zmiana w naczelnym zarządzie armii.

Znany powszechnie generał broni, Antoni Galgotzy, były komendant korpusu przemyskiego, a obecnie generalny inspektor armii austryackiej,



Zmiana w naczelnym zarządzie armii
Nowo-mianowany gen. insp. Ferdynand Fiedler.

ustępuje ze swego stanowiska w najbliższych dniach i ze względu na wiek swój podeszły — liczy bowiem obecnie 71 lat — oraz nadwątlone zdrowie przechodzi w stan spoczynku.

Ustąpienie Galgotzy'ego jest wypadkiem wielkiej doniosłości. Chociaż bowiem ten dygnitarz wojskowy nie zdobył sobie w czasie pobytu w Galicyi na stanowisku komenderującego korpusu przemyskiego sympatyi sfer cywilnych, które traktował zawsze z góry i wyniośle, to przecież wyróżniał się wśród generałów austryackich znakomitem wykształceniem fachowem i nadzwyczajnemi zdolnościami strategicznemi. Z tego też powodu cieszył się zawsze wielkiemi łaskami i zaufaniem cesarza, doszedł też do najwyższych, w armii austryackiej znanych godności.

Zawód wojskowy rozpoczął generał Galgotzy w wieku chłopięcym niemal, bo w 14 roku życia oddany został do szkoły wojskowej. Ukończywszy chlubnie szkołę kadecką, a następnie szkołę wojenną, wyróżnił się po raz pierwszy w wojnie austryacko-włoskiej, odznaczając się w bitwie pod Custozzą, jako niepospolity strategik. To też szybko odtąd posuwał się do coraz wyższych godności, uzupełniając równocześnie wykształcenie fachowe w wojskowym instytucie geograficznym. Po paroletnim pobycie przy sztabie jeneralnym we Lwowie, odznaczył się po raz drugi 1882 r. w Bośni, gdzie w przeciągu paru miesięcy zgniótł rozruchy miejscowej ludności. W randze generał-porucznika mianowany został 1891 r. komendantem korpusu przemyskiego, na którego czele stał do r. 1905, w ostatnich latach już jako generał broni. Od dwu lat zaś bawił we Wiedniu, obdarzony najwyższą godnością w armii i upatrzony na naczelnego wodza na wypadek wojny.

Następcą generała Galgotzy'ego ma zostać — wedle doniesień dzienników — generał broni Ferdynand Fiedler. Jest on również znanym w Galicyi, przez lat kilka bowiem był komendantem korpusu lwowskiego. Należy obok generała Galgotzy'ego do najstarszych i do najzdolniejszych generałów austryackich. Studya wojskowe ukończył w Akademi w Wiener-Neustadt, a odznaczywszy się w kampanii 1866 r., zyskał przychylność przełożonych. Pracował następnie w ministerstwie wojny, był przez kilka lat docentem szkoły wojennej, a dosłużywszy się 1898 r. stopnia generał porucznika, został komenderującym we Lwowie. Stamtąd został powołany 1905 r. na komenderującego do Wiednia, a obecnie otrzymał zaszczytną godność generalnego inspektora armii. Nominacya generała Fiedlera nie będzie niespodzianką, już od lat kilku bowiem głoszono, że jako wysoce uzdolniony i fachowo wykształcony generał, jest on upatrzony na następcę Galgotzy'ego.

Ofiary pruskiej „kultury“.

„Kultura“ pruska święci nowe tryumfy. Jak zwykle — na terenie sądu karnego. Toczy się mianowicie w Kolonii od kilku dni proces byłego komisarza państwowego w koloniach niemieckich w Afryce dr. Petersa, przeciw redakcyi „Köln. Zeitung“. Dziennik ten napiętnował dzikość tego kulturträgera w postępowaniu z czarnymi poddanymi cesarza Wilhelma i podał długi rejestr niesłychanie jaskrawych nadużyć i gwałtów urzędników pruskich a dr. Petersa w szczególności.

Z relacyj tych dowiedział się świat cały, jakiemi drogami chodzi „kultura“ pruska, jakiemi drogami zaszczepia się cywilizacyę murzynom. Gwałcenie kobiet, mordowanie niewinnych ludzi, znęcanie się nad dziećmi i starcami — oto recepta dr. Petersa i jego pomocników. Nic dziwnego też, że szczepy murzyńskie znienawidziły swych oprawców i że korzystały z każdej sposobności, by wyzwolić się od ich przemocy i ich rzą-



Zmiana w naczelnym zarządzie armii: Ustępujący gener. inspektor Antoni Galgotzy.

dów „ojcowskich“. Ogłoszeniem tych rewelacyj uczuł się dr. Peters dotkniętym na honorze i pozwał redakcyę dziennika przed sąd. A nie jest to



»Wojna święta« w Marokku: Nowy sułtan Marokka, Mulej Hafid.

pierwsza rozprawa bohaterskiego pogromcy murzynów. Już przed kilku miesiącami skarżył on o taką samą obrazę czci redaktora *Münchner Post* Grubera, który ostro wystąpił z zarzutami przeciw niemu. Proces ten, odbyty w Monachium, skompromitował gruntownie polityków kolonialnych, co jednak nie odstraszyło ich typowego przedstawiciela do ponownego roztrząsania grzechów.

Obecny proces dr. Petersa rozpoczął się dopiero, wyniku jego więc dziś przewidzieć niepodobna. To jedynie pewne, że pruska kultura wyjdzie zeń z nowymi laurami, jakich już tyle rozprawy sądowe jej przysporzyły.

Z TYGODNIA

W ostatnich czasach tak przyzwyczailiśmy się do ciągłych niespodzianek w dziedzinie polityki galicyjskiej, że napozór żadna nowa niespodzianka nie powinna na nas robić wrażenia. A jednak stała się rzecz, która zdziwiła nawet ludzi niczemu już się nie dziwiących. Mówię o zbliżeniu się, pokochaniu i wstąpieniu w związki małżeńskie ludowców z konserwatystami. Jeżeli sobie przypomnimy, że ludowcy stanowili skrajną lewicę, że demokraci galicyjscy byli im za reakcyjni, że ich przywódca jeszcze przed 4 – 5 miesiącami w „gazetce“ swojej wyrażał uznanie dla Szeli i straszniebrzydki koniec obiecywał całej szlachcie, to możemy zrozumieć zadziwienie niczemu się już nie dziwiących, kiedy go ujrzeli przy boku prawicy narodowej, prawiącego jej komplementa i słowa miłosne.

Ta nowa niespodzianka psuje krew zaskoczonym nią demokratom. Pryśnie wiele „najdroższych marzeń“, zmienią się stosunki w Kole polskiem i Sejmie — i niejeden niedawny konserwatysta, który opuścił świeżo „wsteczne“ szeregi, pomyśli sobie: zawcześnie zostałem demokratą! Niejeden nawet poczuje, że bądźcobądź jest on w gruncie rzeczy konserwatystą, ale czy mu uwierzą? Przykra sytuacya.

Poza tym politycznym wypadkiem nowin jest *multum*, tylko mniej doniosłych i niewymagających dłuższego omówienia. Stąd kronika dzisiejsza będzie rodzajem *tutti frutti*, czyli polskiego bigosu. Nie będę się nawet starał nowin tych ułożyć w pewnym porządku, bo jedne są od Sasa, drugie od lasa. Pierwszeństwo, co prawda, należałoby się głównemu opryszkowi Wasińskiemu, który się stał bohaterem naszego dziennikarstwa, postacią prawie legendową, ale niestety nie odczuwam jego wielkości, bo mnie mało podobne kanalie interesują.

Zresztą jak jakie. Świeżo rząd pruski rozdał sto kilkadziesiąt orderów różnym patryotom, zasłużonym w tłumieniu strejku szkolnego w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem. Pomiędzy nagrodzonymi są inspektorowie szkolni, nauczyciele, landraci, burmistrze i jeden leśniczy. Za co ten otrzymał order, trudno się domyśleć — może dostarczał z lasów rózeg i kijów dębowych, jako argumentów wpajających lojalność. Nauczyciele naturalnie najwięcej się zasłużyli: w samem Poznańskiem 53 otrzymało odznaki „orła posiadaczów orderu domowego Hohenzollernów“. A propos nadmienię, że publiczność, lubiąca opowiadania z dziedziny zbrodni, złodziejstw i oszustw, uraczona zostanie niezadługo „Pamiętnikami Jerzego Manolescu, króla złodziejów“. Pamiętniki te, jak donoszą pisma warszawskie, „znalazły tłomacza w osobie literata“, oraz oryginalnego polskiego illustratora „w osobie znanego artysty“. Nazwisk nie podaję, bo nie chcę robić reklamy polskim literatom i artystom.

Droga do artyzmu jest cierniowa. Przekonało się o tem czterech żydków w Bełchatowie. Młodzieńcy ci pałali żądzą posiadania pięknego głosu — czy przez zamiłowanie do sztuki, czy do honoraryów śpiewackich, tego już kronika nie podaje. Ktoś ich objaśnił, że najlepiej ku temu służy posiadanie kawałka ucha zmarłej dziewczyny. Poszli więc na cmentarz, dokonali swego i dostali się do więzienia. Swoją drogą pokutują oni za cudze grzechy, są ofiarą ciemnoty.

Nasza młodzież bo częściej pada ofiarą źle zrozumianej oświaty. Należy więc podnieść ze szczerem zadowoleniem, że jest nadzieja, iż będziemy mogli spodziewać się gdzieś kiedyś jakiejś pod tym względem poprawy stosunków. Na ankiecie w sprawie reformy szkół średnich, minister Gessman oświadczył się za nowym typem szkół średnich, za usunięciem greki i zniesieniem matury. Oby tego ministra, jeżeli ma szczerą chęć przeprowadzenia swych zamiarów, losy zechciały jaknajdłużej utrzymać na jego stanowisku. „Niech mu gwiazda pomyślności nigdy nie zagaśnie, a maturę razem z greką niechaj piorun trzaśnie“.

Rusini zdobyli sobie uniwersytet w Połtawie. Pieniądze na niego już tak dobrze jak są, tylko potrzeba jeszcze trochę poczekać. Zmarły radca dworu Jerzy Hurin zapisał na ten cel 100 rubli, ale wiedząc, że ta kwota nie wystarczy, polecił złożyć ją w banku państwa na procent składany, obliczywszy, że za lat 270 kapitał urośnie do 3.963,712 rubli i 27$^4/_5$ kopiejek. Jeżeli Rusini krótszą drogą nie dojdą do swego uniwersytetu (czego im serdecznie życzę), to będziemy mieli jeszcze 270 krwawych awantur imatrykulacyjnych we Lwowie.

Na razie we Lwowie cicho z Rusinami, ale głośno z przekupkami na placu ratuszowym. Rada miejska po uchwałach komisyj, sekcyj, magistratu itd., poleciła przenieść te damy na plac Strzelecki. Już od 1-go stycznia miały przekupki objąć nowe stanowiska, a gospodynie lwowskie cieszyły się, że będą mogły bez pośrednictwa tych dam nabywać od włościan artykuły spożywcze. Ale radość była przedwczesna. Minął pierwszy stycznia, a przekupki siedzą na dawnem miejscu, drwiąc sobie z prezydenta, wiceprezydentów, rajców, magistratu, sekcyj, komisyj, woźnych, pachołków i wszelkich władz i powag. Ba! ale dam tych jest 328. Pomyślcie sobie: 328 językwów, 328 protekcyj, 656 zamaszystych dłoni! Gall podobno pisze operetkę „Rejterada przed babami“, do której libretta poseł German dostarczy.

W Krakowie natomiast wybiła się na pierwszy plan sprawa kominiarska. Miasto zostało podzielone na 12 rewirów kominiarskich. Każdy właściciel kamienicy został oddany na łaskę i niełaskę jednego z panów kominiarzy. Na szczęście nie jestem właścicielem domu, więc mnie to nic nie obchodzi — z obowiązku tylko notuję, że wśród kamieniczników podniosło się olbrzymie *larum*. Twierdzą oni, że przynajmniej dwa razy więcej będą musieli płacić za czyszczenie kominów. Idzie mianowicie o rozstrzygnięcie kwestyi: co to jest komin? Kamienicznicy twierdzą, że komin to jest... komin, kanał w ścianie murowanej i nad dachem wystający, a służący do odprowadzania dymu; mówią więc, że kto ma takie trzy otwory kanałowe w dachu, to ma trzy kominy. Kominiarze jednak inne o kominie mają pojęcie: według nich osobnym kominem jest każda dziura (szufladą) do kanału przystająca, w której się sadze zbierają; mogą więc być tylko trzy otwory na dachu do odprowadzania dymu, a kominów mimo to może być pięć, ośm, dziesięć, dwanaście. Kiedy więc kamienicznik chce płacić taksę od trzech kominów, kominiarz żąda zapłaty od czyszczenia każdej dziury osobno. Sprawa ta, mała napozór, grozi wielkiemi następstwami. Kamienicznicy odgrażają się, że przejdą do opozycyi przeciw szczęśliwie panującym rządcom miasta — a tu za pasem wybory do Sejmu i do rady miejskiej. Walka, zwłaszcza przy tych pierwszych, zapowiada się potężna, na śmierć i życie — i oto dziura kominowa może zaważyć na szali losów kraju i narodu.

W Marokku rządy już się zmieniły — wprawdzie nie szło tam o dziury w kominie, lecz o jakiś „zastaw“, ale tak czy owak już Abdul-Azis musiał ustąpić Mulej-Hafidowi. Zmiana ta tronu odbyła się jednak w łagodniejszej formie, niż kongres stenografów we Frankfurcie, gdzie z powodu różnicy zapatrywań na systemy stenograficzne wybuchła bójka, wśród której jeden uczestnik kongresu został zabity. Eleuteryzści zapewne winę tego wypadku też położą na karb... alkoholu.

Wspomniawszy o alkoholu, z przyjemnością zanotuję rezultaty ostatnich obliczeń statystycznych, które stwierdzają niedawno wypowiedzianą przezemnie na tem miejscu opinię, że naród nasz w rzędzie pijaków stoi na szarym końcu. Statystyka, o której mówię, wykazuje, że najwięcej alkoholu połyka Francya. Na drugiem miejscu „pijackiem“ stoi Belgia, trzecie zajmują Włochy, czwarte Szwajcarya, piąte Dania, szóste Anglia, a siódme Niemcy. Nad „mniejszymi pijakami“ statystyk się nie zastanawiał, więc gdyby najpesymistyczniej przypuszczać, to dla nas przypadałoby ósme dopiero miejsce. Obawiam się jednak, czy długo na niem pozostaniemy, przynajmniej my, mieszkańcy Krakowa. A podstawą do moich obaw jest znowu statystyka, tym razem miejscowa, urzędu miejskiej akcyzy. Obliczenia jej w roku zeszłym wykazały bardzo poważny wzrost przywozu wódki, piwa i wina do Krakowa. Ta silna tendencya ku pijaństwu kompromituje niesłychanie Eleuterye. Są tacy, co twierdzą, że jak antysemityzm zespolił żydów i wrogo ich usposobił względem ludności chrześcijańskiej, tak również Eleuterya zespoliła wyznawców alkoholu i usposobiła ich wrogo przeciw trzeźwości. Lekarstwo stało się trucizną.

Obawiam się, czy coś podobnego nie stanie się z tak głośno obwoływanym, a mało wykonywanym, bojkotem towarów pruskich. Dochodzą mnie wieści, że niektórzy kupcy skorzystali z owego bojkotu w tym kierunku, że zażądali od fabrykantów pruskich pewnych zniżeń i korzystniejszych warunków wypłaty. A rezultat tego prosty: jeżeli ci fabrykanci, w obawie bojkotu, zgodzą się na ustępstwa, to pewni panowie kupcy tem silniej będą popierali towary pruskie. Zresztą Prusacy nie tają i otwarcie w swych dziennikach piszą, że będą fałszowali marki fabryczne, aby nikt z kupujących nie domyślił się o pruskiem pochodzeniu towaru. Potrzebną więc jest kontrola ze strony społeczeństwa, a ma się nią zająć między innemi i „Straż Polska“, której narodziny w zeszłym tygodniu sygnalizowałem*).

Oryginalny pogląd na bojkotowanie Niemców okazał Stanisławów, a za nim Przemyśl. Miasta te uznały, że kiedy mamy bojkotować martwy towar, należy pewne zadośćuczynienie dać żywemu towarowi. To też niesłychane powodzenie w obu tych miastach miała operetka niemiecka, złożona z pensyonowanych tinglówek.

Jeszcze kilka w telegraficznym stylu wiadomości: Warszawa z bijącem sercem oczekuje na Tosellego. Przyjazd jego małżonki zapewniony. — W Berlinie zraniono kilkadziesiąt osób podczas demonstracyi za powszechnem głosowaniem. Każdy dzień przynosi Bülowowi jakieś zwycięstwo. — Cukier, mimo zapowiedzi nie staniał. Cieszmy się więc dalej słodką nadzieją. — Badania naukowe wykazały, że bezpieczniej dla zdrowia jest całować mężczyzn bezwąsych. Szczegóły w przyszłym fejletonie. — W Meksyku jest do nabycia wulkan Popokatepelt. Może kto stanie do licytacyi?

*) Z powodu wzmianki o »Straży« Redakcya »Nowości« otrzymała kilka zapytań listownych o szczegóły jej organizacyi. Podać ich nie możemy, bo o ile nam wiadomo, komisya statutowa prac swoich nie ukończyła. Podobno w przyszłym tygodniu ma być zwołane większe zebranie obywateli. Na zapytanie, które stronnictwo powołuje »Straż« do życia, odpowiadamy, że zapewniono nas, iż do założycieli »Straży« należą ludzie różnych przekonań. Przewodniczącym komitetu jest r. Bartoszewicz.

Rozwiązanie zagadek z Nru 1.

Szarada.

Kulisy.

Logogryf.

Stanisław Wyspiański.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Z. Gaudnik Stary Sącz, Z. Furko Kraków, Z. Karasińska Wadowice, A. Rotter Stanisławów, O. Górkowa Chyrów, A. Grosse, T. Bossowski Kopyczyńce, J. Dickmanowa Pilzno, J. Biegoń Sucha, H. Domosławski Lwów, E. Bogdalska Koropuż, P. Drzewiecka Bełzec, A. Błażyński Trembowla, S. Drzymalik Bobrówka, W Łopaciński Lwów, H. Harman Czortków, K. Strzelecki Krechowice, W. Samborski Kraków, E. Zażulińska Olszanica, K. Iurkiewicz Gwoździec, J. Badura Rożdzień, »Pomoc koleżańska« Nowy Sacz, L. Rogalski Mikulińce, F. Kalita Gawłuszowice, J. Wilczek Krzyżtoporzyce, J. Nikorowicz Uhrówek, F Juzowski, A. Bocsoń Bóbrka, S. Kunachowicz Biskupice, F. Niepokój Krosno, H. Leligdowiczówna Fraga, Swaczyński Przemyślany, A. Kudła Tapin, Urząd pocztowy Starzawa, J. Kołtas, S. Chłopicki Zawałów, E. Wieczorkowa Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, Tow. ku wspieraniu położnic, M. Stebnicka Przemyślany, T. Bicz Bircza, K. Fuchs Czeremchów, W. Zdonowicz Gorlice, J. Garbień Stryj, J. Gomulińska Bóbrka, F. Jamiszyk Wadowice, T. Bicz Sufczyna, I. Suchoszewski Uherce niezabitowskie, A. Pisowicz Dulczówka, E. Kiszelka Tarnopol, K. Wilczyńska Zalasie, M. Opolska Czarny Dunajec, Surowiecka Mor. Ostrawa, M. Kuzia Wadowice, S. Angielczykowski Lubaczów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Bocsoń, Bóbrka. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Pałac wodny.

Najmodniejszym krajem na świecie stał się obecnie Egipt, który tysiącami ściąga do siebie podróżników z całej kuli ziemskiej. Włochy przechodzą w zapomnienie, galerye watykańskie pustoszeją, natomiast kraj Faraonów roi się od różnobarwnego tłumu, który w ciszę piramid wnosi zgiełk europejsko-amerykański, który przed zdumionemi oczami wiecznego sfinksa, przyzwyczajonego patrzeć tylko na powiewne burnusy arabów, roztacza pstrokaciznę najmodniejszych strojów paryskich.

Ku wygodzie swych gości Egipt wprowadził u siebie w użycie wszelkie najnowsze wynalazki europejskie; samochody np. snują się po piaskach pustyni, rywalizując z wielbłądami.

Do największych przyjemności w krainie Faraonów należy przejażdżka Nilem, której oddają się przeważnie młode pary małżeńskie, zażywające w osobnych kajutach rozkoszy podróży poślubnej. Obecnie spuszczono na Nil potężny statek parowy „Egipt“, urządzony wewnątrz z niesłychanym przepychem. Ściany kajut wyłożono drzewem różanem lub mahoniowem, podłogi pokrywają wspaniałe kobierce. Salę jadalną zamiast sufitu pokrywa kopuła ze szkła rzniętego, które w blasku kinkietów elektrycznych mieni się wszystkiemi kolorami tęczy. Ściany głównego salonu wyłożone są wielkiemi taflami lustrzanemi, posadzka przedstawia jedną mozaikę złożoną z rozmaitego koloru kwadratów szklanych. Wszystko tam przyrządzano na miarę milionerów, ustanowiono też i odpowiednie ceny, które czynią z tego statku prawdziwy pałac wodny, niedostępny dla zwykłych śmiertelników.



Ofiary pruskiej »kultury«: Grupa murzynów ze wschodniej Afryki, gdzie rządził osławiony komisarz dr. Peters.



Pałac wodny: Luksusowy parostatek »Egipt«, kursujący po Nilu.

Ostatni utwór d'Annunzia.

Do najrozgłośniejszych poetów bieżącej doby, należy Włoch, Gabryel d'Annunzio, którego każdy nowy utwór budzi z jednej strony entuzyastyczne pochwały, z drugiej bywa namiętnie zwalczany przez zawodowych krytyków.

Taki los spotkał też jedną z ostatnich jego sztuk scenicznych „Piu che l'amore“ (Więcej niż miłość), wychwalaną przed przedstawieniem, a wygwizdaną na scenie jednego z teatrów rzymskich. Zawodem tym poeta jednak nie zraził się, wystawia bowiem obecnie w Rzymie znowu tragedyę „La Nave“ (Okręt), która ma opiewać chwałę Wenecyi, dawnej królowej Adryatyku. Rycina nasza przedstawia autora w towarzystwie syna swego i artystów przy pierwszej czytanej próbie utworu.

Gabryel d'Annunzio, jak twierdzą jego przeciwnicy, pochodzić ma z żydowskiej rodziny, właściwe zaś jego nazwisko brzmi podobno Kajetan Rapagnetta. Poeta urodził się w roku 1864 na statku na morzu Adryatyckiem. Lata dziecinne spędził w górach, w Abruzzach, potem kształcił się w Prato. Od wczesnej młodości zdradzał niezwykłe zdolności poetyckie. W piętnastym roku życia wydał tomik poezyi, które zwróciły na młodocianego poetę powszechną uwagę. Jeden ze starszych krytyków wyraził się o tym zbiorze poezyi, iż gdyby był nauczycielem ich autora, wychłostałby go rózgami, a zarazem nagrodziłby go złotym medalem. Po skończeniu kolegium w Prato, wstąpił do uniwersytetu rzymskiego, wydając równocześnie w krótkich odstępach czasu jeden po drugim utwory poetyckie i prozaiczne, wszystkie przesiąknięte zmysłowym erotyzmem i wyrafinowaną subtelnością. Romanse jego zjednały mu sławę wszechświatową, przynosząc zarazem i dostatki materyalne. Dzisiaj, po śmierci Carducciego, d'Annunzio stanowi istotną sławę całych Włoch.

Malarz-Sybirak.

Od kilku lat żyje w Wiedniu jeden z wybitnych uczestników powstania 1863 r., utalentowany malarz polski, Aleksander Sochaczewski, a żyje w wielkim niedostatku, skazany na upokarzające jałmużny od obcych, bo swoi — niestety — zapomnieli o nim.

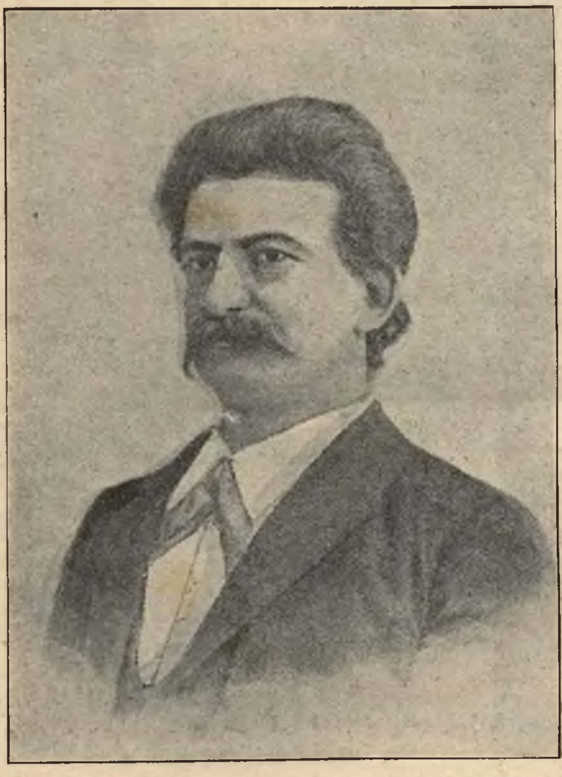
Sochaczewski należał jako uczeń warszawskiej szkoły sztuk pięknych do organizacyi Rządu Narodowego, za co został zesłany na Sybir. Wróciwszy stamtąd po 20 przeszło latach, osiadł w Mona-



Ostatni utwór d'Annunzia: Gabryel d'Annunzio (1), syn jego (2) w towarzystwie artystów i artystek, występujących w »Okręcie«.

chium celem dokończenia zaniedbanych studyów malarskich.

A potem począł odtwarzać wspomnienia niedawnej przeszłości, oraz portrety osób, z któremi na wygnaniu się spotkał. Jeden za drugim wychodziły z jego pracowni obrazy, uderzające siłą wyrazu, budzące grozę swym realizmem, a niepospolite pod względem artystycznym. I wierny podjętemu zadaniu, nie oglądając się na powodzenie materyalne, nie licząc się z współczesnymi prądami w sztuce, pracował niemal bez wytchnienia nad plastycznem przedstawieniem życia bohaterów narodowych. Dzieła jego wędrowały po wystawach w Polsce i zagranicą, rozsławiając imię utalentowanego artysty-malarza. Ale jego środki materyalne wyczerpały się i dziś Sochaczewski żyje w Wiedniu, pod opieką Niemców.



Malarz-Sybirak: Aleksander Sochaczewski.

Dopiero w ostatnich dniach zawiązał się w tamtejszem stowarzyszeniu „Strzecha“ komitet, złożony z grona Polaków, który zajął się opuszczonym artystą-Sybirakiem i zorganizował jaką taką pomoc dla starca. Komitet „Strzechy“ ogłosił też odezwę do społeczeństwa polskiego, by pośpieszyło z pomocą dla jednego z najbardziej zasłużonych synów Ojczyzny.

Ujęcie „królowej“ włamywaczy.

Sensacyjna sprawa szajki włamywaczy z pod sztandaru Wasińskiego, stała się głośną nietylko we Lwowie, nietylko w Galicyi, ale i po za jej granicami, a pisma wiedeńskie omawiają obszernie i szczegółowo bandyckie historye tej szajki. Stąd też na policyę lwowską spłynął snop sławy i uznania za energię jej kilku funkcyonaryuszy, za ich spryt i dobrą taktykę w wyławianiu niebezpiecznych ptaszków. Odnosi się to zwłaszcza do niezmordowanego w śledzeniu zbrodniarzy komisarza p. Łukomskiego i kilku ajentów.



Ujęcie »królowej« włamywaczy: Komisarz policyi lwowskiej Łukomski, który prowadzi śledztwo przeciw szajce włamywaczy.

Nowym ich tryumfem jest ujęcie przed kilku dniami od dawna poszukiwanej żony Wasińskiego. Król włamywaczy miał wprost żywotny interes, by żona jego nie dostała się w ręce władzy bezpieczeństwa, przeczuwał bowiem, że jej uwięzienie zniszczy odrazu wszystkie jego plany i nadzieje.

Wiedząc, że ona jedna zna tajemnicę jego zagadkowej ucieczki z więzienia lwowskiego, miał niepłonną nadzieję, że ona i teraz znajdzie drogi i środki, by mu umożliwić ponowne odzyskanie wolności. I nie łudził się Wasiński. Tydzień zaledwie minął od chwili aresztowania go, a już usilne były przygotowania, by Wasińskiemu podać narzędzia do przepiłowania kajdan i krat, oraz płyn, który wedle jednych miał służyć do przegryzienia żelaza, a wedle drugich do uśpienia czujnych dozorców.

W takiej to chwili dwaj ajenci policyjni wytropili Wasińską w Jarosławiu, gdzie ją też aresztowali. Poprzednio już aresztowali w Samborze niejaką Walochową, żonę dozorcy więzień we Lwowie, która z bandą włamywaczy utrzymywała stosunki, a w związku z tem aresztowano równocześnie we Lwowie i jej męża, silnie podejrzanego o to, że on to właśnie roku zeszłego ułatwił ucieczkę Wasińskiemu, Szypturowi i Schwarzerowi.

Mimo, że dotychczas aresztowano już jedenastu członków tej niebezpiecznej bandy włamywaczy, policya zapowiada dalsze jeszcze aresztowania.



Ujęcie »królowej« włamywaczy: Żona E. Wasińskiego i jego wspólniczka, Władysława Wasińska.

Demonstracya robotnicza w Berlinie.

W ubiegłą niedzielę stolica Prus stała się widownią niebywałych manifestacyi robotniczych na rzecz reformy ordynacyi wyborczej do sejmu pruskiego, które zakończyły się bardzo smutno, bo rozlewem krwi. Dnia tego w Berlinie i okolicy odbyto przeszło dwadzieścia zgromadzeń, po skończeniu których licznie zebrani uczestnicy chcieli dostać się do śródmieścia. Kilkudziesięciotysięczny tłum posuwał się różnemi ulicami ku sejmowi i ku pałacowi Bülowa, by tam demonstrować, na drodze jednak swej tłumy te spotkały silne oddziały policyi, które na nadchodzących rzuciły się z prawdziwie pruską brutalnością, raniąc szablami wiele osób. Wśród manifestantów powstał popłoch, zwłaszcza na widok kilkudziesięciu osób leżących na ziemi w kałużach krwi. Bójka trwała dobrą chwilę, a rezultaty jej musiały być bardzo krwawe, bo policyanci siekli szablami bezbronnych ludzi. Policya nie rozróżniała przy tem manifestantów od przechodniów i cięła szablami wszystkich spotkanych, zagrzewana osobistem męstwem urzędników policyjnych, którzy walczyli o zdobycie orderu czarnego orła, splugawionego obecnie krwią współobywateli.



Demonstracya robotnicza w Berlinie: Policya piesza i konna, pilnująca pochodu demonstrujących robotników.

Wieczór sonat.

Staraniem ruchliwego krakowskiego towarzystwa muzycznego odbędzie się w najbliższy poniedziałek bardzo interesujący koncert, nazwany wieczorem sonat, na którym wystąpią dwaj młodzi, ale już dużą sławą cieszący się artyści polscy, pianista prof. Lelewicz i skrzypek prof. Kochański ze Lwowa. Interesującym będzie ten koncert nietylko ze względu na występ tych dwóch znakomitych wirtuozów, ale i ze względu na swój program, złożony z doborowych utworów sonatowych. Urządzaniem tego rodzaju wieczorów wywiązuje się krakowskie towarzystwo muzyczne najlepiej z swej doniosłej misyi kulturalnej i artystycznej i składa dowód jej zrozumienia. Po występach kwartetu Szewczika i kwartetu brukselskiego, po „Requiem“ Verdiego — poniedziałkowy wieczór sonatowy będzie jednym z najpiękniejszych plusów działalności tej instytucyi.

Z dwu w tym koncercie wystąpić mających artystów, profesora Lelewicza zna dobrze publiczność krakowska i niejednokrotnie miała sposobność podziwiać jego przepiękną a spokojną grę, jego znakomicie wyrobioną technikę i potężną siłę uderzenia, obok wielkiej muzykalności, głębi uczucia i poezyi, przenikających każdy przezeń wykonywany utwór. Znanym też jest prof. Lelewicz jako wytrawny pedagog, a rezultaty jego trzyletniej działalności w konserwatoryum odesskiem, a

następnie — od 1905 r. — krakowskiem, są bardzo duże.

Po raz pierwszy natomiast usłyszy publiczność krakowska młodego skrzypka p. Wacława Kochańskiego. A jest to jeden z najzdolniejszych współ-



Wieczór sonat: Prof. Wacław Kochański.

czesnych skrzypków polskich. Urodzony roku 1880 w Kamieńcu Podolskim, ukończył tam gimnazyum, a następnie wydział przyrodniczy na uniwersytecie petersburskim. Już jako młody chłopak rozpoczął studya muzyczne, przybywszy zaś do Petersburga kształcił się u znakomitego prof. Leopolda Auera, który zwrócił uwagę na niezwykły talent młodego akademika i bardzo serdecznie czuwał nad jego rozwojem. Po ukończeniu studyów u Auera udał się p. Kochański do Pragi, do profesora Szewczika, i pod jego kierunkiem pracował przez dwa lata.

W czasie tym talent p. Kochańskiego rozwinął się bardzo bujnie, a pracowite studya pozwoliły mu dojść do nadzwyczajnej techniki. W zeszłym roku, jako profesor instytutu muzycznego we Lwowie, wystąpił p. Kochański kilkakrotnie na estradzie koncertowej, zdobywając jednogłośne uznanie i duże artystyczne powodzenie. W grze jego jest niezmiernie wiele ognia, życia i temperamentu prawdziwie młodzieńczego, ujętego jednak w karby artyzmu. Tony dobywa głębokie, soczyste, pełne uczucia, trafiając nimi nadzwyczaj silnie do duszy słuchacza. Obok tego wyrobienie w grze i technika niepoślednia, co wszystko zapewnia utalentowanemu artyście przyszłość jak najpiękniejszą.

Z powodu odbyć się mającego wieczoru sonat, zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety obu w nim wystąpić mających artystów, pp. prof. Lalewicza i prof. Kochańskiego.



Wieczór sonat: Prof. Jerzy Lalewicz.

Z lwowskiego bruku.

(Cały cebrzyk sensacyi. — Z teoryi o sensacyi. — Klub sensacyjnych reporterów — Spotkanie w kawiarni. — O bohaterze Wasińskim. — Lwów a Berlin, czyli i u nas są rozpruwacze. — Konsul w niebezpieczeństwie. — Kulparków pracuje na sensacyę).

Lwów połknął w dniach ostatnich cały półmisek sensacyj najrozmaitszego gatunku. Po dniach postu w tygodniu świątecznym i noworocznym, wysypała ich się cała paczka, tak że reporterzy biegają jak szaleni po mieście — pisząc po drodze na pulpitach latarń, skrzynek listowych i szyb wystawowych, ich zaś bezcenne świstki ekspresi z wywieszonymi na brodę językami na automobilach własnych nóg odnoszą do redakcyi.

Trzeba bowiem wiedzieć, czem jest sensacya dla lwowskiego dziennika. Jako kania i eleuteryk łaknie wody, rzeźnicy bankructwa miejskich jatek, Wasiński wydostania się z kryminału, narciarze śniegu, a literat pierwszego tomika — tak dziennik lwowski pragnie sensacyj. Numer bez niej jest smutny jak katafalk wyłożony trupami „wycinanek“ (sztuka stosowana) z niemieckich dzienników i bratnich organów z Krakowa czy z za kordonu — reporterzy dostają od szefów kolosalne „lanie“, administracya jest nieczułą na zaliczki — słowem rozpacz i przygnębienie. W czasach posuchy wyłaniały się między reporterami projekty, by zorganizować się w bandę włamywaczy, rozpruwaczy, samobójców itd., i by na własną rękę robić kawały — cóż kiedy każdy z nich zrobił na poczekaniu z założyć się mającego towarzystwa sensacyę i rzecz tak godna poparcia upadła w zarodku.

Na dni ostatnie uskarżać się nie mamy powodu. Mieliśmy sensacye ze wszystkich dziedzin społecznego życia stolicy: rycersko-adwokacką, kryminalno policyjną, seksualno-schodową, polityczno-konsularną i kulparkowsko-zamarzniętą! Wyjmijmy poszczególne kwiatuszki z tego wonnego bukietu.

Ten krwawy i sensacyjny tydzień rozpoczął straszny pojedynek dwu panów mecenasów, etapami rozegrany w sali rozpraw sekcyi 3-ciej, na podwórzu tegoż przybytku sprawiedliwości, w kawiarni Grand, a ostatecznie na szpaltach lwowskich pism. Dla zamknięcia tego honorowego wianuszka wypadałoby, by sprawa wróciła znów do sekcyi 3-ciej... A rozpoczęła się ta sprawa straszna od drobnostki, jak wszystkie zresztą doniosłe wydarzenia w historyi narodów.

Pan mecenas F. potrzebował powiedzieć przy rozprawie panu mecenasowi G., że „postępuje jak świnia“. Mój Boże! Zaraz się unosić!? Po co? W sekcyi trzeciej takie słowa latają przecie codziennie jak chrabąszcze w stryjskim parku na wiosnę. A pan mecenas G. zamiast odpowiedzieć: „co to pana potrzebuje obchodzić?“ — zawrzał gniewem i odpowiedział:

— Ja potrzebuję ubrać do pańskiej mordy grube rękawiczki!

Pan mecenas F. chciał coś na to jeszcze odpowiedzieć, ale się zaślinił i „zacukał“, tymczasem adwersarz wyszedł z przybytku sprawiedliwości na podwórze, gdzie zamiast w rękawiczki ubrał się w jakiegoś silnego kompana i czekał na pana F.

Tenże załatwił jeszcze ośm „pyskówek“ i wyszedł na udeptaną ziemię dziedzińca. Bogowie nie pozwolili mi być naocznym świadkiem tego rycerskiego spotkania, niechże wyręczy mnie opis czynów pana F., skreślony jego drżącą ręką w dziennikach:

„W godzinę później napadł na mnie na podwórzu sekcyi 3-ej z namowy i w obecności dr. G. towarzysz tegoż K., idywiduum karane za zbrodnię i nałogowy kłamca. Chwyciłem K. za nos i trzymając go zań jedną ręką, drugą wymierzyłem mu kilkadziesiąt policzków, zaś trzecią rzuciłem dr. G. w twarz książkę ze słowami „denuncyujesz podle tchórzu, namawiasz zbrodniarza a sam nie masz odwagi...“

Ładna książka, w której są takie słowa... I rozpoczęła się ta długa tragedya od wyzwania dr. F. To znaczy: dr. G. posłał dwu świadków drowi F. i ci oświadczyli z miejsca zastępcom przez niego mianowanym, że wyzwanego uważają za niezdolnego do dania satysfakcyi.

— Nie, to nie! A my uważamy za niehonorowego dr. G.

— Kiedy nieprawda!

— Kiedy prawda!

— A taki nieprawda!

I omal co nie przyszło do czterech nowych protokołów, to znaczy, chcę rzec „pojedynków“ (przeciwnicy biją się „pojedyńczo“ bez drugiego) — ale kelner poprosił o uciszenie się. Albowiem to potrzebowało się dziać w kawiarni.

Zastępcy p. F. nie chcieli uznać swego klienta za niehonorowego, ponieważ ten jest bardzo honorowy — i sprawa się rozbiła na dwa stoliki. Na jednym pisano jednostronny protokół dla dr. F., na drugim dla dr. G. W pierwszym była mowa o tem, jak to dr. F. nic się nie bał i chciał się strzelać z prawdziwego pistoletu, ale dr. G. nie chciał.

Obaj mecenasi, tym razem klienci, czekali na wyrok. Dr. G. znalazł tymczasem grubą rękawiczkę i spróbował cięcia na swym przeciwniku płazem prawej ręki z przodu oblicza dra F., jak utrzymuje dr. G., z tyłu jego zacnej osoby, jak utrzymuje dr. F., z tyłu, przodu, boku, w zamieszaniu, krzyku i strachu, jak utrzymują kelnerzy.

Teraz sprawa wylazła do dzienników ku uciesze czytelników. Doniesienia, odwołania, sprostowania, wyjaśnienia — bo co to kosztuje? A redakcye z pocałowaniem ręki przyjmują takie kawały... W całą sprawę niepotrzebnie wlazł dr. G., jak twierdzi *vox populi*, spokojny i porządny człowiek—niechże jednak na drugi raz będzie ostrożniejszy w dobieraniu sobie przeciwników i... sekundantów!

O wiele poważniej rysuje się na ekranie lwowskich sensacyj, sensacyjna historya sławnego, naszego kochanego Wasińskiego, dziś już o europejskim rozgłosie człowieka. Jest on prawdziwym benjaminkiem naszej prasy — każde jego poruszenie się w kryminale znajduje odgłos na czułych szpaltach pism — co je, czy śpi, czy śpiewa, czy wychodzi na spacer, czy ma kajdanki, czy jest wesoły, czy smutny, kiedy ucieknie — wszystko to drżeniem przejmuje nasz ludek. Zwłaszcza to ostatnie! Reporterzy (gdyby nie odpowiedzialność) z chęcią ułatwiliby mu wyrwanie się z rąk lwowskiej sprawiedliwości — aby tylko zrobić sensacyę! Tęskniącemu za małżonką włamywaczowi sprowadzono ją do więzienia — mamy więc w klatce już sporo kanarków, bieda tylko, że nie wszystkie chcą o swoich sprawkach śpiewać...

Następny kawał rehabilituje Lwów wobec Berlina. Ma pruska metropolis swoich rozpruwaczy, dlaczegóż my mamy pozostać w tyle? Wszystkiego przecież zbojkotować nie jesteśmy w stanie. Obeszło się tym razem bez rozprucia, ale i mała dziewczynka była, i schody były, i był „młody czarny, przystojny brunet“, jak policya dotąd zdołała stwierdzić.

Lwów jest jednak pomysłowy i z innego względu. Gdy braknie prawdziwych sensacyj, fabrykuje się je sztucznie. To także nic nie kosztuje. W zeszłym tygodniu urządziła sobie taką autoreklamę pani Bel Sorel, gwiazda operowa — stwarzając historyę o napadzie w dorożce; w tym tygodniu mamy taki napad do zanotowania w konsulacie rosyjskim. Przyszedł tam jakiś niepozorny człeczyna i oświadczył uroczyście, że chce konsula zabić. Dobry sobie rewolucyonista! Więc reklama! Dla kogo? Dla sprawcy wobec konsula, dla konsula wobec rządu rosyjskiego, czy dla policyi wobec obu rządów i prasy?

Na zakończenie nie zabrakło nam i sensacyj kulparkowskiej. Dozorcy tamtejsi tak oporządzili jakiegoś pacyenta, że skrwawiony wyrwał im się z rąk i uciekł w pole, gdzie go znaleziono zamarzłego. I znów huczek we Lwowie. Dozorcy są pewni swego... co tam! waryata bić to nie grzech, bo przecie waryat nie wie, że go biją...

Gdyby tak z tych dozorców „porobić waryatów“?

Jerzy Gips.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

7 Ciąg dalszy

VI.

Gdy się balkon zwalił do Sekwany, ogrodnik struchlał z przerażenia i przez chwilę stał bezradny, nie wiedząc, co począć. Opamiętawszy się, pędem zbiegł schodami na dół i przez furtkę pogonił nad brzeg rzeki. Było ciemno, że oko wykol i cisza dokoła, tylko słychać było szum wody i pluskanie fali. Ogrodnik wsiadł do czółna i nawoływał rybaka, spodziewając się, że płynie, że usłyszy jego wołanie i że się odezwie. Byłby mu pospieszył na pomoc, podpłynął na czółnie. Nikt się nie odzywał, ogrodnik szybkiem poruszeniem wiosła pędził na czółnie co mógł, myśląc, że gdzieś na fali dopatrzy rybaka. Minęło z pół godziny, poszukiwania daremne, ogrodnik wraca i przybija pod willę do brzegu. Zaledwie czółno przymocował, uczuł zimną rękę na karku. Obraca się nagle i poznaje rybaka. Chciał krzyknąć z radości, ale rybak zatkał mu ręką usta i szepnął do ucha:

— Cicho, ani słowa, chodź ze mną w krzaki.

Ogrodnik usłuchał natychmiast i w mgnieniu oka ukryli się obaj w kępie drzew, należącej do nadbrzeżnych nad Sekwaną miejsc spacerowych.

— Chwała Bogu! Więc pan żyje — szeptał ogrodnik, przypatrując się przemokłemu do nitki Guttmanowi.

— O tem potem; teraz niema czasu — szeptał Guttman. Musimy tu poczekać z godzinę i czatować na tych, co przyjdą oglądać willę i przypatrywać się resztkom załamanego balkonu. Tu popełnili zbrodnię ci sami, co pannę Blanc uprowadzili. Obaj musimy udawać teraz nieżyjących; niech się rozniesie po mieście, żeśmy obaj wpadli i utonęli. Niespostrzeżenie musisz się przekraść na ulicę Ewangelistów, do domu pod l. 50. Tam się dopytacie o właścicielkę domu i powiecie jej, że George nie utonął. Do żony swej nie możecie powrócić, dopóki wam niepozwolę. Teraz cicho, ruch jakiś na rzece.

Ujrzano z daleka płynące czółno, a w niem straż ratunkową z pochodniami. Ludzie na czółnie oświetlali rzekę od brzegu do brzegu, nawoływali i nareszcie znikli w dali na zakręcie, płynąc szybko z prądem wody. Nie długo potem, usłyszeli wesoły śpiew męski, rozchodzący się po wodzie z czółna, na którem jakaś ochocza gromada ku willi Blanc'ów płynęła. Przed willą czółno się zatrzymało. Wysoki mężczyzna podniósł pochodnię w górę i oświetlił nią resztki zapadłego balkonu. Czterej inni towarzysze wycieczki, wyciągnęli szyję w górę i przypatrywali się ciekawie, a potem krzyknęli „Vive la Republique“ i zaśmiali się głośno.

— O mój Boże! wszak to doktor Hergenrötter — szepnął ogrodnik.

— Który — zapytał Guttman.

— Ten co trzyma pochodnię.

Guttman przypatrywał się wszystkim uczestnikom, bo twarze ich były doskonale oświetlone płomieniem pochodni. Przywykły do szybkiego chwytania rysów fizyognomii i do utrwalania ich sobie w pamięci, całe to towarzystwo miał już przed oczyma tak, jakby odfotografowane.

Zawołali jeszcze raz: „Vive la Republique“ i wśród hałasów i śmiechów skręcili i popłynęli w dół rzeki. Gdy już cisza nastała dokoła, zapytał Guttman:

— Kto to jest ten doktor Hergenrötter?

— To panie Prusak z Berlina. Osiedlił się tu w Paryżu i leczy pana Jacques'a, ile razy zachoruje. Zaprzyjaźnili się bardzo ze sobą.

— A znacie tych innych panów?

— Znam panie. Jeden z nich to kasyer z banku pana Blanc'a, pan Emil Terra. Oni obaj z doktorem najbardziej się zaprzyjaźnili z p. Jacquem. Był też i buchalter z banku, pan Claro. Innych nie znam po nazwisku.

— To mi wystarczy.

— To weseli panowie, ale bardzo porządni, szkoda tylko, że z tym pruskim doktorem się wdali, bo temu, to źle z oczu patrzy. Dziś sobie gdzieś podchmielili i wykrzykiwali wiwaty.

— Krzyczeli dlatego, aby pod tym pozorem zadrzeć głowę do góry i przypatrzyć się balkonowi.

— Czyżby to może oni ten balkon?...

— Cicho, cicho — pomówimy o tem. Teraz proszę pospieszyć na ulicę Ewangelistów do domu pod l. 50, a ja tu zaczekam. Proszę pamiętać mój ogrodniku, że wszystko co czynicie teraz, dzieje się dla dobra pana Blanc'a, że za wszystko czeka was wdzięczność i nagroda.

Ogrodnik oddalił się prędko, a Guttman ukrył się w gęstwinie i rozmyślał:

— Hm, ten doktor wygląda mi na skończonego łotra. Ale u niego więcej bezczelności i zuchwalstwa, niż przebiegłości. Prawdziwy Prusak. Wygląda na to, że on kieruje bandą i opanował Jacques'a. Ci poczciwi, naiwni Blanc'owie wierzą ślepo Jacques'owi, nie kryją się przed nim z niczem. Jacques wiedział, że mam przyjechać, doktorowi doniósł, no i padł ofiarą agent z Orleanu, a gdy się pokazało, że to pomyłka, zrobili zasadzkę z balkonem na mnie. Muszę być umarłym. Trzeba się schować. Gdzie? A, wszakże mam takiego przyjaciela! Od czegóż lord Lonchester? Wiem, że tu jest i do tego piastuje godność królewską.

Guttman zatarł ręce z radości, snuł plany i czekał niecierpliwie powrotu ogrodnika. Jakoż w godzinę wrócił Laquer.

— Teraz popłyniemy aż do Pont Neuf i tam puścimy czółno z wodą — rzekł Guttman.

— Ależ to czółno należy do willi pana Blanc'a! przecież szkoda...

— Nie lękajcie się panie Laquer, ja już za to zdam sprawę przed waszym panem. Prędko, do roboty.

Popłynęli z prądem, ku miastu i wysiedli na przeciwnym brzegu u Pont Neuf.

— Tu gdzieś niedaleko jest „dziadowski zaułek“ — mówił Guttman.

— O, to jeszcze dość daleko, przy Chausse d'Auteuil — odpowiedział Laquer.

— Chodźmy tam.

— Między żebraków i złodziei?

— Tak.

— Panie, tam niebezpiecznie.

— Nie szkodzi.

— Tam mordują.

— Nic się nam nie stanie.

— Z tego wszystkiego nic nie rozumiem.

— Proszę pamiętać, że to wszystko robi się dla waszych zacnych państwa, że panienkę odszukać musimy.

Te słowa Guttmana „odszukać musimy“, wywołały na poczciwym ogrodniku nie małe wrażenie. Sławny agent czynił go przez to jakoby wspólnikiem, czy pomocnikiem. Więc i on będzie mógł kochanym państwu się przysłużyć, do odszukania panienki przyczynić. Uradował się poczciwiec i nabrał zaraz otuchy.

— Właściwie powiedziawszy, to ja się wcale nie boję. Jeżeli potrzeba, to pójdę z panem i do piekła, byleśmy panienkę odszukali.

— Tak, to pięknie, kochany panie Laquer, z takim pomocnikiem warto pracować.

I szli już w milczeniu, aby kto czego nie podsłuchał, aż wreszcie zbliżyli się do „dziadowskiego zaułka“. Baraki drewniane, to na pół zapadłe niskie domki, tu i ówdzie piętrowa, na pół rozwalona kamieniczka. Zaduch dochodzi z daleka; błoto, śmiecie; pod domami stare deski lub odpadki cegieł, zamiast chodnika; gdzieniegdzie porozrzucane kamienie, sterczą z błota. Ciemno; wąskie płomyki gazu migocą w kilkunastu latarniach. Tu siedziba nędzy i zbrodni. Żebracy z całego Paryża, nędzarze, pozbawieni dachu nad głową, robotnicy, pozbawieni zarobku, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, jednostki i całe rodziny, wszystkich spędziła tu rozpacz, wszystkich zjednoczyła nędza.

Przemycają się w to królestwo żebracze i ci, których ściga paragraf prawa karnego; w łachmanach żebraczych ukrywają się i zbrodniarze. Dantejski obraz ziemskiego piekła, którem włada nie szatan, lecz „król dziadów“. Wybierają go, lub sam się na władcę narzuca, a czy mu władzę oddano dobrowolnie, czy zdobył je pięścią, rządzi samowładnie, bez senatu, bez parlamentu, a cała rzesza posłuszna mu niewolniczo.

On dzieli miasto na obwody i do każdego z nich przeznacza odpowiednio kwalifikowanych żebraków. Wyznacza też specyalne dla nich zajęcie. Jedni są specyalistami w żebraniu na mostach, inni pod kościołami; są żebracy przeznaczeni do głównych ulic i do pobocznych; na cmentarze i na różne uroczystości. Oczywiście, że wszyscy muszą znosić „królowi“ daninę. Spryt „króla“ właśnie w tem się objawia, że umie odpowiednio wyzyskać kwalifikacye i ułomności dziadów, przez stosowne ich ustawianie na właściwych miejscach.

Obecnie jest królem dziadów garbaty Anglik, osiadły od lat kilku w Paryżu; mimo, że cudzoziemiec, zyskał sobie ogólne zaufanie żebraczego narodu i królem wybrany został, pod nazwą „lord Lonchester“.

I nie zawiódł zaufania. Pod żadnem „berłem“ nie używał naród żebraczy takiego „dobrobytu“; lord Lonchester jest mistrzem w ustawianiu dziadów, w wyszukiwaniu im właściwych posterunków. Powiadano wprawdzie cichaczem, że „król“ zebrał sobie z danin dostatni majątek, ale nikt na to nie sarkał, skoro wszystkim dobrze się dzieje.

Już weszli w głąb zaułku, utykając na kamieniach, to znowu brodząc w błocie po kostki. Pusto było i cicho, gdzieniegdzie tylko widać w oknie światełko, a przez zabrudzone szyby można dojrzeć rozczochraną głowę starca, albo wykrzywioną twarz starej baby. Minęli już kilkanaście domów, a dopiero pierwszego przechodnia spotkali. Była to jakaś stara, zgarbiona kobieta, podpierająca się długim kijem.

— Kochana mateczko — odezwał się Guttman trzęsącym głosem, zgarbiwszy się we dwoje — gdzie też mieszka ojciec Lonchester?

Stara spojrzała niedowierzająco na Guttmana, z którego ubrania ściekała jeszcze woda z błotem.

— A po co to? A na co? Jeżeliście z naszych, toście powinni wiedzieć, a jeżeli nie z naszych, to wam nic do tego.

— Mnie tu przysłali do ojca Lonchestera. Mam dobre wiadomości. Są nowe zarobki. Jakbyście mi nie powiedzieli, toby się ojciec Lonchester bardzo na was gniewał.

— A nie kłamiecie?

— A niechże Bóg zachowa. Jakbym co skłamał, toby mnie ojciec Lonchester kijem zwalił.

Staruszka zaprowadziła ich przed lichy, na pół zapadły dom, nie lepszy i nie gorszy od innych.

— Zapukajcie, a mocno — rzekła stara i odeszła.

Guttman poczekał chwilkę, dopóki się starucha całkiem nie oddaliła i uderzył pięścią we drzwi. Z głębi odezwał się głos ostry, charczący:

— Kto tam? Nieproszonych przyjmuję rewolwerem.

— Schowajcie rewolwer mości lord Kniff i otwórzcie spokojnie; przychodzi wasz dobry przyjaciel — odezwał się Guttman.

Na to odsunęła się klapa we drzwiach i w małym otworze widać było męską twarz, o świdrowatych oczach, z jastrzębim nosem.

— Good evening lord Kniff — zawołał Guttman, śmiejąc się wesoło.

— Kto wy jesteście?

— George International!

— Święty Boże! Czego pan tu chcesz? Pan niemasz prawa aresztować mnie we Francyi.

— Nie po to też przybywam. Przeciwnie, jeżeli uczynisz czego będę żądał, mogę ci zapewnić zupełny spokój. A więc namyśl się, mości lordzie Kniff.

— Nie wspominajże pan już tego przeklętego nazwiska, panie komisarzu.

— Tak? Teraz się go wstydzisz? a w Anglii nosiłeś je z taką dumą.

— Już zostałem uczciwym człowiekiem, panie komisarzu.

— Bardzo słusznie. Jeżeli się ma wyrok na dwadzieścia pięć lat więzienia w Dovres, toć już lepiej żyć spokojnie i uczciwie używać swobody. Ale co tam będziemy mówili o dawnych rzeczach, te mnie już nic a nic nie obchodzą. Teraz ja mam prośbę do ciebie. Oto potrzeba, abyś mnie i mego przyjaciela ukrył na kilka dni tak, aby nikt o nas nie wiedział.

— Aa, aa, domyślam się. Pan komisarz jest na tropie. Oho! ho! musi to być nielada sprawka, kiedy aż pana tu sprowadzono. Dałbym u siebie mieszkanie, ale ostatnią izdebkę na poddaszu wynająłem jakiejś pannie.

— O! cóż to za panna, że aż tutaj mieszkania szukała?

— Niewolno mi o tem mówić, ale dla pana mam obowiązki wdzięczności; przytem jesteśmy rodacy, to i powiem. Jestto jakaś panna z miasta, ma narzeczonego, podobno chcą temu zaradzić, żeby matką nie została i dlatego co drugi dzień przychodzi doktor.

— Słuchaj lord Kniff, powiedziałeś tyle, powiedz i resztę. Przyszedłem tu jako przyjaciel, ale jakbyś mnie chciał wywieść w pole, pożałowałbyś tego. Powiedz prawdę czy ta panna nie nazywa się de Blanc?

(Ciąg dalszy nastąpi).



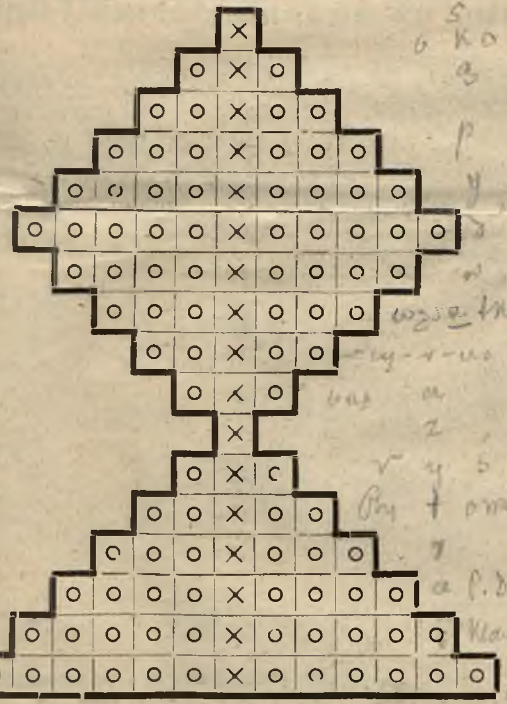
Ujęcie »królowej« włamywaczy: Ajent policyi lwowskiej Lieblich, który aresztował Wasińskiego i jego żonę.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Ułożył Stefan Spunda ze Skały.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Narzędzie wzroku. 3. Zielę, rosnące na bagnach. 4. Część pługa 5. Najwyższy szczyt gór na półwyspie krymskiem. 6. Tytuł drugiego po atamanie wodza kozackiego. 7. Gatunek chrząszcza. 8. Odmiana pszenicy. 9. Założyciel państwa perskiego w VI w. przed Chr. 10 Rodzaj głosu, także instrument muzyczny. 11. Spółgłoska. 12. Zwierzę drapieżne. 13. Miasto na górnym Śląsku. 14. Imię męskie. 15. Tytuł komedyi Blizińskiego 16. Dawny instrument muzyczny, podobny do fortepianu. 17. Tytuł rektora Uniwersytetu.

Szarada.

Ułożył Henryk Pianowski.

Życzenia Wam dziś niosę Czytelnicy mili,
By Wam życie płynęło wśród rozkoszy kwiecia,
Byście lepszych w Ojczyźnie doczekali chwili,
By wesoła też była Wasza *szósta trzecia*....
Pannom życzę: by mężów zacnych dostawały,
Kawalerom, by wierne pobierali żony,
Przy żonach zaś dodatek skromniutki i mały:
Pierwszego i trzeciego, to jest, coś z mamony.
Żonatym życzę szczerze, z głębi mego serca,
By dobrze *czwarte ósme* zawsze się uczyły.
By ich wreszcie powiedli do ślubu kobierca,
Bo to przecież rodziców obowiązek miły.
Chorym winszuję zdrowia, (bo to skarb wszak cały),
A zdrowym, (gdyby słabość nareszcie ich zmogła),
Zalecam środeczek niewinny i mały:
Druga, ósma i trzecia, aby im pomogła
Teraz myśliwym życzę: niech im *piąte czwarte*
Zawsze dobre na łowach, by im się szczęściło,
By *siódmy* na strzał wyszedł, (bo to jest coś warte),
I... by pudeł w ich strzałach zawsze najmniej było.
Nareszcie wszystkim życzę, kto tylko Polakiem:
Byśmy czasów dożyli dla nas doskonałych,
By nas nie krępowano wiecznie powijakiem,
A przedewszystkiem życzę zawsze Wam trzech *całych*.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy **najnowszą, sensacyjną powieść Żeromskiego: „Dzieje grzechu“.**

„**KOSMETYKA**“, tygodnik poświęcony racyonalnej kosmetyce, estetyce ciała, hygienie ogólnej, perfumeryi i hygienie seksualnej, pod redakcyą Dra Zamenhofa, przy stałem współpracownictwie specyalisty lekarskiej kosmetyki i chorób włosów, Dra Lustra z Krakowa, tudzież wielu innych wybitnych powag z zakresu kosmetyki, chemii i hygieny, oraz artystów, literatów i literatek, rozpoczął rok drugi wydawnictwa.

Pismo to zdołało sobie zjednać w przeciągu tego krótkiego czasu niezwykłą poczytność oraz życzliwość szerokiego ogółu kobiet. W roku bieżącym wychodzić będzie „Kosmetyka“ na dotychczasowych warunkach, lecz ze znacznie rozszerzonym programem i w zwiększonej objętości.

Oprócz prac, rad i wskazówek z zakresu kosmetyki i hygieny, omawiane będą w „Kosmetyce“ wszystkie działy, mające związek z hygieną i estetyką ciała, będzie zatem uwzględniony: dział sportowy, rozrywek, mód, spraw toaletowych i pokrewnych.

Nadzwyczaj obficie zakreślony program prac zajmujących i aktualnych, wysyła się darmo i opłatnie.

Bliższych informacyj udziela, oraz wysyłkę prospektu załatwia zgłaszającym się listownie — Dr. Luster.

Adres w sprawie prospektów: **Lecznica lekarsko - kosmetyczna Dra Lustra Kraków, Floryańska 37.**

Prenumerata wynosi kwartalnie: 3 kor. 75 h. Prenumeratę najlepiej wysyłać wprost do redakcyi: Warszawa, Senatorska 36 lub do księgarni G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.

Z półek księgarskich.

Jedno z pierwszych miejsc wśród nowych firm wydawniczych zajmuje obecnie księgarnia Feliksa Westa w Brodach, nakładem której ukazały się świeżo dwa dzieła sceniczne pierwszorzędnej jakości: »Szkoła« Kaweckiego i »Mąż idealny« Oskara Wilde'a w tłomaczeniu Konrada Rakowskiego. Wydanie książkowe obu tych sztuk, nie schodzące od dłuższego czasu z repertuaru scen polskich, sprawiło wielką radość w kole miłośników teatru. Dzięki firmie Westa, utwory te rozejdą się w szerokich kołach publiczności, zwłaszcza wśród mieszkańców prowincyi, którzy nie mieli jeszcze możności widzieć ich na scenie.

»Krakowski kalendarzyk kolejowy« wyszedł z druku i po za kalendarzem na r. 1908, mapką Galicyi i Bukowiny i map Europy środkowej, cenami miejsc w teatrze miejskim, przewodnikiem krakowskim, cennikiem dla dorożek w Krakowie i Zakopanem, taryfą opłat pocztowych, wreszcie miejscem na notatki, zawiera w pierwszym rzędzie dokładny rozkład pociągów i ceny biletów kolejowych do wszystkich ważniejszych miast i stacyj na liniach krajowych i zagranicznych, które są tak ułożone, iż zupełnie wykluczają uciążliwe i żmudne szukanie w t. zw. »Kursbuchach« i innych rozkładach jazdy. **»Krakowski kalendarzyk kolejowy«**, ozdobiony złotemi obcięciami, zaleca się w całem tego słowa znaczeniu starannem wydaniem, dogodnym kieszonkowym rozmiarem, pożyteczną zawartością i niską ceną, kosztuje bowiem tylko 10 ct.

Głosy publiczne

Szkoła Berlitza Krakowska szkoła Berlitza obcych języków, która może pochlubić się znacznymi postępami swych uczniów, dokłada obecnie starań, by znajomość obcych języków jak najbardziej rozpowszechnić. W tym celu urządza w styczniu szereg odczytów informacyjnych w językach angielskim, francuskim i niemieckim. Odbędą się ponadto i próbne lekcye zupełnie bezpłatne, na których każdy będzie się mógł przekonać o sposobie nauczania systemem Berlitza.